

Rok XXVI

Nr e-63 (259)

Styczeń 2012

# NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



**OD REDAKCJI**

Rozmowa z Krystynem Chudobą – Prezesem Oddziału Wrocławskiego PTTK .....	<i>Wojciech Radliński</i> .....	3
-----------------------------------------------------------------------------	---------------------------------	---

**Z NASZEGO REGIONU**

Zamek Książ .....	<i>Karolina Migawa</i> .....	7
Wzgórza Rogówki – górski zakątek Kotliny Kłodzkiej .....	<i>Bartosz Skowroński</i> .....	8
Miasto i gmina Głuszycza .....	<i>Łukasz Rutowicz</i> .....	10
Karkonoskie kaskady i wodospadzi .....	<i>Krzysztof R Mazurski</i> .....	11

**OJCZYSTE SZLAKI**

Szalom aleichem – krakowski Kazimierz (2) .....	<i>Izabela Kopeć</i> .....	13
Solina .....	<i>Żaneta Jarostawska</i> .....	15

**TRASA MIESIĄCA**

W cieniu Książa – wędrówka przez Pogórze Wałbrzyskie ...	<i>Bartosz Skowroński</i> .....	19
----------------------------------------------------------	---------------------------------	----

**GLOBTROTER**

Wybrzeże Kości Słoniowej (2) .....	<i>Krzysztof Zadros</i> .....	23
Skandynawia .....	<i>Elżbieta Lisiecka</i> .....	25
Petersburg .....	<i>Janusz Fuksa</i> .....	27
Ischgl .....	<i>AOIT</i> .....	29

**Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW**

Mijające krajobrazy Ziemi Jeleniogórskiej .....	<i>Krzysztof Tęcza</i> .....	30
„Wysoki Szczebel” pod Karkonoszami .....	<i>Krzysztof Tęcza</i> .....	31
Złoty Marek .....	<i>Wojciech Radliński</i> .....	32
Niedługo puchar w Jakuszycach .....	<i>Newsletter DOT</i> .....	33
Ziemia Kłodzka ma encyklopedię .....	<i>Małgorzata Żochowska</i> .....	33
„Warszawa da się lubić” poraz piątą .....	<i>Jan Kamiński</i> .....	34
Pomorski sejmik krajoznawczy „Mijające krajobrazy Pomorza” .....	<i>Alicja i Ryszard J. Wrzoskowie</i> ..	35
Opłaty drogowe na Słowacji w 2012 r. ....		38

**NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU**

Fotografia elektroniczna .....	<i>Henryk Hadasz</i> .....	39
--------------------------------	----------------------------	----

**U KRESU WĘDRÓWKI**

Odszedł Marek Olejniczak .....	<i>KK O/PTTK w Ostrowie Wlkp</i> ..	40
--------------------------------	-------------------------------------	----

**RECENZJE, NOWOŚCI**

Monografia kolei wielkopolskich .....	<i>Krzysztof R. Mazurski</i> .....	41
Rowerem po Tybecie .....	<i>Krzysztof R. Mazurski</i> .....	41

**LISTY, OPINIE, DYSKUSJE**

Samotnie w góry .....	<i>Krzysztof Tęcza</i> .....	42
Wycieczka ostatniej szansy .....	<i>Agnieszka Siekierska</i> .....	44

**Na okładce: Panorama Tatr z Hali Gąsienicowej. Foto: Piotr Szatyński**

# Rozmowa z Krystynem Chudobą

## – Prezesem Oddziału Wrocławskiego PTTK

*Witam! Zgodnie z naszą umową pozwalam sobie zadać kilka pytań w ramach wywiadu dla naszego magazynu \*Na Szlaku\*.*

Może na początek. Myślę, że jest w Towarzystwie wiele ciekawszych osób, w tym działaczy „ze świecznika”, i wywiad ze mną na każdy temat może okazać się niewypałem. Nie mniej miło mi, że Redakcja \*Na Szlaku\* była gotowa podjąć to ryzyko, co może w jakiś sposób przybliżyć Oddział Wrocławski PTTK szerokiej społeczności turystycznej.

***Koniec starego roku i początek nowego – jaka jest kondycja Oddziału, któremu Kolega prezesuje? Bilanse, oczekiwania?***

Bardzo dobre pytanie! Poproszę o następne. A na poważnie. Oddział Wrocławski PTTK należy do grupy oddziałów średniej wielkości, których liczba członków zawiera się w przedziale pomiędzy 500 a 750 osób. W większości są to jednak członkowie, którym można by przypisać status „korespondentów” – opłacających regularnie składki członkowskie, korzystających ze zniżek w obiektach, ale nie włączających się w nurt organizacji imprez zarówno dla siebie, jak i dla pozostałych członków Towarzystwa. Grupa działaczy – nie, to określenie jest już niemodne i może nawet skompromitowane – zatem grupa wolontariuszy jest niewielka, a stąd i działalność programowa do najbardziej okazałych nie należy. Z drugiej strony nie ma dziś dziedziny życia, na której nie odbija się kryzys ekonomiczny. Drożeje złotówka, relatywnie coraz mniej zarabiamy, a to przekłada się na spadające zainteresowanie nas wszystkich turystyką, bo ta też staje się coraz droższa. Tych bardziej zamożnych wabią szeroko otwarte granice, zachęcając do wyjazdów w rejony kiedyś niedostępne, ale, niestety – nie z pośrednictwem biur naszego Towarzystwa. Te już dawno w całej Polsce zepchnięte zostały wyłącznie do roli pośredników i nasz Oddział nie jest tu wyjątkiem. Natomiast znacznie mocniejszych finansowo organizatorów turystyki, gotowych zainwestować spore fundusze w organizację atrakcyjnych imprez turystycznych, jest wkoło pełno, a my z całą pewnością nie byliśmy i nie jesteśmy w stanie stanąć z nimi do konkurencji. Mamy jednak swoją enklawę, może niezbyt okazałą, ale godną podkreślenia. Jest nią organizacja imprez niekomercyjnych, dla członków naszego Oddziału, ale też dla wszystkich zainteresowanych, choć niezrzeszonych w naszym Towarzystwie. Wystarczy dla przykładu wymienić sobotnie i niedzielne wycieczki Wrocławskiego Klubu Piechurów „Perpedes”, a w sezonie zimowym rajdy narciarskie organizowane przez Wrocławski Klub Narciarski „Psie Pole”, imprezy Komisji Turystyki Górskiej z cyklu „Zdobynamy Koronę Sudetów” czy „Góry za Miedzą” i „Sudety za Miedzą”, imprezy kajakowe Wrocławskiego Klubu Wodniaków „Wiadrus” czy szkolenia żeglarskie Klubu Żeglarskiego „Eol”. Aktywne w tym zakresie są również nasze koła PTTK. W Oddziale działa Regionalna Pracownia Krajoznawcza, dysponująca pokazną biblioteką turystyczną z przeszło 7 tys. woluminów. Oddział jest także siedzibą innych jednostek regionalnych: Dolnośląskiego Porozumienia Oddziałów PTTK, Dolnośląskiej Federacji Przewodników PTTK, Delegatury Sudeckiej KTG ZG PTTK, referatów weryfikacyjnych popularnych odznak turystycznych. Istotna jest także praca naszych przewodników turystycznych, oprowadzających gros wycieczek po mieście, ale i na obszarze woj. dolnośląskiego, a w tym Sudetów.

***A jaka jest kondycja finansowa Oddziału?***

Bądźmy dżentelmenami i nie mówmy o pieniądzach. Niech nam wystarczy fakt, że zachowujemy pełną płynność finansową oraz tzw. „zdolność kredytową”. Pozwala to nie tylko na utrzymywanie w dobrej kondycji technicznej naszego majątku trwałego, ale też na niewielki przyrost zaplecza technicznego, służącego naszym komisjom problemowym, kołom i klubom. Chociaż, uchylając rąbka dyskrekcji – z kredytów też nie musieliśmy korzystać, mimo np. wydatku na wymianę wszystkich okien w naszej zabytkowej kamienicy. To przykład dobrej gospodarności i myślę, że wydatek ten zwróci się z nawiązką podczas zimowych akcji grzewczych. Ale to wydatki Oddziału sprzed zaledwie kilku tygodni, a przecież były i znacznie większe. Wymienię choćby remont odtworzeniowy całej

elewacji kamienicy, rozdzielanie klatek schodowych i wymiana drzwi wejściowych, bieżące remonty sieci ciepłowniczej itp. Przyzwoity wygląd uzyskało także nasze schronisko na Kopie Biskupiej, zmienił się wygląd Ośrodka Campingowego w Otmuchowie, zainwestowaliśmy sporo w unowocześnienie ogrzewania w schronisku „Na Ślęży”. To może nawet widać, ale już spowszedniało i tego się nie zauważa. Jeżeli się nie mylę, to Oddział Wrocławski PTTK jest także jedynym w Polsce, który honoruje zniżki członków PTTK w swoich schroniskach.

***Co jest największym sukcesem, a co jego odwrotnością?***

Niewątpliwym sukcesem jest to, że TRWAMY. Mamy wokół siebie i w całej Polsce wiele przykładów upadku oddziałów PTTK, co gorsza – pozostawiających po sobie niejednokrotnie spore długi. U nas też były „lata chude”, kiedy beztroska lub konsumpcyjne nastawienie niektórych „działaczy” – tu mogę z całą premedytacją użyć tego określenia, mogły wręcz wywrócić Oddział. Szczęściem ten okres mamy już dawno za sobą i dziś – odpukać – możemy bez obawy patrzeć w przyszłość. Gwoli sprawiedliwości powinienem jednak dodać, że w dużym stopniu jest to zasługa także naszych pracowników etatowych, którzy nadzwyczaj sumiennie wykonują swoje obowiązki pracownicze. Im za to należą się gorące podziękowania.

Faktycznie są jednak i porażki. Największą jest chyba stale zwiększająca się przeciętna wieku członków naszego Oddziału powodowana brakiem dopływu młodzieży. Niestety, wśród młodych ludzi zanika etos pracy społecznej, a może nie zachęcają do niej dość dziwnie określone cele i zakres działania naszego Towarzystwa. Czasami aż się prosi postawienie pytania: „komu to Towarzystwo jest potrzebne?”, bo chyba nie jest celem powołanie kolejnej drużyny z powieści Arkadija Gajdara, do czego wielu reformatorów naszej organizacji wyraźnie zmierza. Mamy robić wszystko: uczyć nauczycieli, dbać o obronność kraju, pomagać wykluczonym, dbać o aktywizację zawodową i mniejszości narodowe, chronić prawa kobiet i pomagać ofiarom konfliktów zbrojnych – w sumie przeszło dwadzieścia takich wzniosłych celów, a wszystko w imię kilku „Dutków”, jakie można wyzebrać od skąpych i rozleniwionych donatorów (czytaj: instytucji rządowych, których kardynalnym obowiązkiem jest zapewnienie społeczeństwu m.in. godziwego wypoczynku). W takim kierunku zmierza choćby rodzący się nowy Statut PTTK. Tymczasem w projekcie Statutu nie ma celów, które byłyby zachętą dla młodzieży – tej starszej, niekoniecznie dzieci w wieku przedszkolnym. Cechą młodości jest to, że jest niecierpliwa i nikomu nie odpowiada kariera np. zastępcy członka zarządu kilkunastoosobowego koła PTTK i to dopiero po kilku latach członkowstwa w Towarzystwie. Czy można się dziwić?

***Teraz pytanie dociekliwsze. Czy oddziałowi przewodnicy miejscy będą obsługiwać uczestników największego wydarzenia w naszym mieście Euro 2012? Jaki jest stan przygotowań?***

To oczywiście, aczkolwiek dotąd nie mamy sygnałów ze strony Miasta o potrzebie przeprowadzenia jakiejś zorganizowanej akcji, która byłaby adresowana do przyjezdnych kibiców. Myślę jednak, że do tego dojdzie, choćby nasz wzór wakacyjnego oprowadzania Wrocławian i przyjezdnych po Starym Mieście, zlecanego przez Władze Miasta. Oddział ze swej strony przygotowuje się do Euro 2012 już od kilku lat, czego wyrazem jest choćby już piąta edycja kursu dla kandydatów na przewodników miejskich. Mamy to szczęście, że miasto jest potężnym ośrodkiem akademickim, a Uniwersytet Wrocławski kształci wielu filologów władających bezbłędnie wieloma językami. Nasi przewodnicy w dużym procencie mają takie właśnie kwalifikacje. Mamy też przewodników władających językiem migowym, a nawet wyuczonym językiem chińskim.



**Dom pod Żółtą Gwiazdą – siedziba Oddziału Wrocławskiego PTTK na wrocławskim Rynku**

***Dochodzą słuchy, że zachwiała się działalność Oddziałowej Komisji Krajoznawczej. Czy to możliwe, przecież to ikona Wrocławskiego?***

Gdyby rzeczywiście posługiwać się takim określeniem, to zasługiwałyby na nie jeszcze kilka innych jednostek „Wrocławskiego”, a każda z nich ma prawo do chwil, gdy „wiatr w żagle wieje mocno”, ale i chwil zupełnej flauty. Takie niekorzystne stany są jednak zwykle przejściowe i po nich przychodzą nowe inicjatywy, nowe pomysły. Tak jest i tym razem i Komisja Krajoznawcza już działa. Jeszcze żeby można było zaobserwować dopływ nowych, młodych entuzjastów krajoznawstwa. Życzymy tego sobie wszyscy.

***Co nowego na niwie znakarskiej?***

Tak, to dość ważny element działania Oddziału: znakowanie szlaków górskich i szlaków nizinnych. Niestety, przez kilka ostatnich lat działalność ta nieco kulała, czego wyrazem była np. pogarszająca się czytelność szlaków w Masywie Ślęży i szlaków wokół Wrocławia. A przyczyny? Tak jak poprzednio. Znakowanie szlaków to domena młodszych członków Towarzystwa, a tych brak. To również działalność, jak żadna inna, zależna od warunków pogodowych, a pogoda potrafi płać różne figle. Na drodze mogą także stanąć zmieniający się gospodarze terenu, którzy potrafią zagrozić istniejący od dziesiątek lat odcinek szlaku, nawet bez powiadomienia. Taką sytuację mieliśmy np. w okolicach Domaszczyna, na szlaku żółtym wokół Wrocławia. Ale idzie ku lepszemu. W ciągu ostatnich dwóch lat została odnowiona m.in. większość szlaków w Masywie Ślęży, przybyły nowe drogowskazy i tablice informacyjne. Nie ma też większych opóźnień na szlakach nizinnych. Realia dnia codziennego wskazują jednak, że w wielu wypadkach musimy sami finansować prace znakarskie bądź zabiegać o ich sfinansowanie, np. przez urzędy gmin, bo zwykle funduszy przekazywanych na ten cel przez Zarząd Główny PTTK nie starcza.

***Odnosi się wrażenie, że w mieście nie potrzeba tylu oddziałów PTTK. Niektóre tylko są. Dziwnym wydaje się ostatnia próba powołania nowej jednostki. Czy pod szyldem Oddziału Wrocławskiego nie należałoby rozpocząć procesu scalenia?***

Taki stan rzeczy, czyli nadmiar oddziałów, można było przewidzieć już w chwili ich tworzenia. Wtedy jednak panował „hura- optymizm” i niewielu chciało o tym słyszeć, a pikanterii temu dodaje fakt, że działo się to kosztem Oddziału Wrocławskiego, bo to z niego wyłoniły się wszystkie oddziały



**Krystyn Chudoba z prezydentem Czech Vaclavem Klausem na Śnieżce**

dzielnicowe. Dzisiaj w zmienionych radykalnie warunkach ekonomicznych szansę przetrwania mają jedynie oddziały o zdrowej gospodarce i pewnej bazie lokalowej. Dlatego do kategorii mało odpowiedzialnych mrzonek można zaliczyć pomysł powoływania kolejnego oddziału. Szczęściem to tylko incydentalne mrzonki, bez realnych perspektyw. A co do łączenia oddziałów. Ten proces już się rozpoczął kilka lat temu. Oddział Wrocławski PTTK przyjął m.in. członków upadłego Oddziału Akademickiego, a nawet cały klub narciarski



**Dom Turysty im. Romana Zmorskiego na Ślęży  
Oddziału Wrocławskiego PTTK**

z rozwiązanego Oddziału PTTK „Psie Pole”. Ale stąd zrodziły się także nowe doświadczenia i daleko posunięta ostrożność, bo jeden z tych transferów nie wyszedł nam na zdrowie. Jest też ograniczona pojemność naszego Oddziału w przyjmowaniu kolejnych „rozbitków”, zwłaszcza gdy wcześniej, najczęściej poprzez zaniechanie, doprowadzili do upadku własnego oddziału.

***W obecnych czasach brak strony internetowej pozostawia na uboczu życia społecznego każdą jednostkę działania. Czy w Oddziale nastąpi w tej dziedzinie postęp, powstaną nowe strony, wzmocni się reklamę?***

Ależ! Podejrzewam poważne niedoinformowanie Kolegi Redaktora. Nasz Oddział był, jeżeli nie pierwszym, to na pewno drugim w Polsce oddziałem PTTK, który założył swoją stronę internetową. Mało tego, z naszej pomocy korzystał również ZG PTTK, a jego pierwsza strona internetowa była redagowana właśnie w naszym Oddziale. Tam jednak też o tym starają się nie pamiętać, o czym mogą świadczyć niektóre enuncjacje internetowe. Do Internetu przykładamy ogromną wagę, wszystkie stanowiska pracownicze są u nas w pełni skomputeryzowane i mają do Internetu pełny dostęp – no, może z wyjątkiem komputera utrzymującego całą księgowość Oddziału. Na własnej stronie zamieszczamy wiele informacji bieżących i reklam, a reklamą jest też sama nazwa domenowa Oddziału. Przypomnę, jest nią: „[pttk.wroclaw.pl](http://pttk.wroclaw.pl)”. Może to wyglądać na nieskromną przechwałkę, ale znając kilka języków programowania sam tę stronę tworzę. Co prawda, jej wygląd jest trochę amatorski, bez atrakcyjnych animacji i innych bardzo nowoczesnych rozwiązań, ale strona spełnia swoją rolę. Takie rozwiązanie ma też tę zasadniczą zaletę, że od chwili powstania strony Oddział nie poniósł na nią żadnych kosztów – robię to całkowicie społecznie. Możemy też odnotować, że odpowiedni licznik zarejestrował od chwili pierwszej edycji strony nie mniej niż 150 tys. odwiedzin. Swoje strony internetowe mają też niektóre komisje i kluby. Natomiast postęp? Tu w grę musiałyby wejść duże pieniądze, które należałoby zapłacić wyspecjalizowanym firmom komputerowym, albo podobne do dotychczasowych działania kilku amatorów. Tych, niestety, brak.

***Na koniec niemal obowiązkowe pytanie. Jak postrzegany jest w Oddziale nasz miesięcznik \*Na Szlaku\*?***

Bardzo pozytywnie, tym bardziej, że jego redakcja też odbywa się całkowicie społecznie. To jedna z naszych najlepszych wizytówek, za co należą się i pochwała i słowa podziękowania, dla całej ekipy redakcyjnej. A przy okazji. Taki noworoczny remanent zachęca do podziękowania wszystkim, działającym aktywnie w naszym Oddziale członkom PTTK, za ich czas i wysiłek poświęcony organizacji szeroko dostępnych imprez turystycznych oraz budowę pozytywnego wizerunku Oddziału. Proszę też prząc w imieniu wszystkich czytelników \*Na Szlaku\*, z okazji Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku, życzenia zdrowia, pieniędzy, które można nawet zaoszczędzić, i wszelkiej pomysłowości.

*Rozmawiał: Wojciech Radliński*

## Zamek Książ

**K**siążański kompleks zamkowo-pałacowy wraz z otaczającym go parkiem jest trzecim pod względem kubatury, po Malborku i Wawelu, w Polsce. Usytuowany na wysokim skalistym urwisku, z trzech stron otoczony jarem, góruje majestatycznie nad całą okolicą, a na odwiedzających go po raz pierwszy prawie zawsze robi oszałamiające wrażenie. Dzisiaj mają tu swoją siedzibę muzeum, restauracja, hotel oraz świetnie zaopatrzone sklepy z pamiątkami. Gmach – może trochę na wyrost – słynie z bogato zdobionych, stylowych wnętrz, wśród których wyróżnia się Sala Maksymiliana. Ponadto prezentowana jest tutaj ceramika artystyczna i porcelana użytkowa produkowana w wałbrzyskich fabrykach, a także przedmioty wystawiane z okazji licznie organizowanych ekspozycji czasowych. Łącznie w zamku znajduje się około 400 pomieszczeń o całkowitej kubaturze 150 tys. m<sup>3</sup>, wykorzystywana jest jednak zaledwie część tego wielkiego potencjału, w niższych partiach na użytek muzeum, w wyższych – jako hotel. Wielką atrakcją pozostaje zwiedzanie wieży głównej, skąd rozciąga się panorama okolicy z podwrocławską Ślężą oraz Górami Sowimi, a gdyby nie sąsiednie wzgórza, można by stąd dostrzec Śnieżkę. Otoczenie rezydencji stanowią starannie utrzymane wielopoziomowe tarasy, będące miniaturami ogrodów we francuskim stylu. Książ słynie także ze wspaniałej stadniny koni oraz palmiarni, w której rośnie ponad sto gatunków egzotycznych roślin sprowadzonych tutaj z Ameryki, Azji, południowej Europy i Australii.

Najbardziej reprezentacyjnym pomieszczeniem Książa jest utrzymana w stylu baroku wiedeńskiego dwukondygnacyjna komnata balowa zwana **Salą Maksymiliana**. Jej ozdobą są liczne rzeźby oraz dwa ustawione symetrycznie względem siebie kominki z zawieszonymi nad nimi kryształowymi lustrami. Ściany wyłożono tu sztucznym marmurem, a element charakterystyczny stanowią trzy balkoniki, pełniące niegdyś miejsce pracy kapeli dworskiej. Centralną część sufitu zajmuje plafon nawiązujący do mitologii greckiej: w środku przedstawiony jest Pegaz, poniżej Atena, wokół nich dziewięć muz – opiekunek nauki i sztuki, przedstawionych z przynależnymi im atrybutami. Z okresu świetności zamku zachowały się też złożone supraporty przedstawiające *Ucieczkę Dafne przed zwałami Apolla* i *Bachanalia*. Znajdujące się w komnacie żyrandole i klinkiety wyrzeźbiono z drewna lipowego i pozłożono, a jej posadzkę wykonano z marmuru. W przeszłości Sala Maksymiliana służyła przyjmowaniu ważnych gości: arystokratów, polityków i artystów, odbywały się tutaj bale i uroczystości.

Od północy z Salą Maksymiliana sąsiaduje utrzymany w stylu rokoko **Salon Zielony**. Jego sufit upiększa kunsztowna sztukateria, której główna wstęga ma swoje lustrzane odbicie w parkiecie. Dawniej salon ten zdobiły portrety antenatów i malowidła alegoryczne, współcześnie jedynym oryginalnym elementem pozostaje wykonany z czerwonego marmuru barokowy kominek z kartuszem. Od południa do Sali Maksymiliana przylega natomiast **Salon Biały**, dawniej zwany Czerwonym, gdyż jego ściany zdobiły czerwone jedwabne drapienie, zniszczone pod koniec II wojny światowej. Sufit w tym pomieszczeniu pokrywa dekoracyjna sztukateria, obfitująca w różnorodne motywy zdobnicze, głównie roślinne. Wystawione tutaj meble należały wprawdzie do księżnej Daisy von Pless, nie stanowią jednak autentycznego wystroju zamku, bowiem przed laty stały w jadalni należącego do Hochbergów „Grand Hotelu” w Szczawnie-Zdroju.

Kierując się na zachód wchodzimy do **Salonu Chińskiego**, którego nazwa pochodzi od współczesnych tkanin ściennych, przedstawiających pawie oraz nierzadko spotykane w sztuce orientu motywy drzew kwitnącej wiśni. Dekorację uzupełnia żyrandol z ciągniętego szkła kryształowego, wykonany z czerwonego marmuru kominek oraz meble reprezentujące aż trzy style w sztuce: empire, rokoko i klasycystyczny. Z Salonu Chińskiego wchodzimy do **Salonu Gier**, zwanego też Muzycznym,

ozdobionego współczesnymi tkaninami tańczących postaci i wyposażonego w meble wykonane pracochłonnymi technikami intarsji oraz inkrustacji. Od zachodu sąsiaduje z nim **Salon Barokowy** nakryty oryginalnym XVIII-wiecznym plafonem o tematyce mitologicznej. Ściany komnaty pokryte są tkaninami XX-wiecznej proweniencji, historyczne są natomiast meble, z których najstarsze – dębowa skrzynia podróżna, pamięta początki XVIII stulecia.

Istnieją trzy opcje zwiedzania zamku:

**Trasa Maksymiliana** (z przewodnikiem). Podstawowa przebieg, obejmujący salony barokowe, w tym piękną Salę Maksymiliana. Podziwiać możemy oddane w stylu rokoka Salony Białe i Zielone, przejście amfiladowe prowadzące do Salonów Chińskiego, Gier oraz Barokowego. Korytarz pałacowy prowadzi do tajemniczej „skałki szczęścia”, skąd Czarnymi Schodami, przez karczmę rycerską, przechodzimy na zamkowe tarasy pełne urokliwych zakątków, fontann i rzeźb. Dalej przez winnicę wchodzimy na Dziedziniec Honorowy. Czas zwiedzania: 30 min.

**Trasa Śladami Tajemnic II wojny światowej** (z przewodnikiem). Trasa wzbogacona jest o historię przebudowy zamku, będącej elementem planu pod kryptonimem Riese. Zaczyna się ona od przejścia skrzydłem barokowym zamku. Później wchodzimy do części gotyckiej, najbardziej przebudowanej w czasie trwania działań wojennych. Widzimy tajemnicze windy, nieukończone pomieszczenia, ceglane podpory. Przez Salę Balową i Hol Myśliwski udajemy się do Sali Konrada, skąd przechodzimy na tarasy, gdzie zaglądamy do betonowych sztolni wydrążonych w czasie II wojny światowej. Czas zwiedzania: 70 min.

**Zwiedzanie indywidualne** bez przewodnika trasą zbliżoną do Trasy Maksymiliana. Zamek można zwiedzać od kwietnia do września w godzinach 10-17, w weekendy 10-18. Od października do marca w godzinach 10-15, w weekendy: 10-16.

Ceny biletów w zależności od obranej trasy wahają się od 14 do 18 zł. (normalny) i między 9 a 12 zł (ulgowy). Dodatkowo odpłatne jest fotografowanie i wideofilmowanie.

*Karolina Migawa*

---

## Wzgórza Rogówki – górski zakątek Kotliny Kłodzkiej

**W**e wschodniej części Kotliny Kłodzkiej, przy granicy z Górami Złotymi, wznosi się ciąg wyraźnie zarysowanych w krajobrazie wzniesień nazywanych Wzgórzami Rogówki. Choć leżą blisko Kłodzka i są pod wieloma względami atrakcyjne, rzadko spotyka się tam turystów.

Mianem Wzgórz Rogówki określa się pasmo zwartych wzniesień wyrastających na południe od Jaskowej Dolnej i Górnej, na zachód od Skrzynki i Droszkowa oraz na północ od Ołdrzychowic Kłodzkich. Wzgórza te są obok Wzgórz Ścinawskich jedynym, nie licząc pojedynczych wzniesień, prawdziwie góskim fragmentem Kotliny Kłodzkiej. Na miano górzystości zasługują nie tylko ze względu na wysokości bezwzględne. Spora ich część to strome, trudne do zdobycia górki. Przekonać się o tym można jadąc przez Ołdrzychowice Kłodzkie szosą z Żelazna do Łądka-Zdroju. Na lewo od drogi widzimy pasmo stromych, miejscami nawet bardzo, gór. Są to zbocza Sośniny i Bukówki – wzniesień wyrastających w południowej części Wzgórz Rogówki. Równie stroma jest najwyższa w całym paśmie Sarnica (551 m). Jej wierzchołek ze wszystkich stron podcięty jest zboczami o znacznym nachyleniu. Takich szpiczastych nieco wzniesień jest tu całkiem sporo. Nie znaczy to jednak, że w całym paśmie nie ma szczytów łatwiej dostępnych. Do takich należy nieco niższa od Sarnicy Klekotka (536 m). Niemal pod sam jej wierzchołek dotrzeć można z doliny Brodka asfaltową szosą. Asfalt kończy się przy samotnym, malowniczo położonym gospodarstwie, koło którego znajduje się okazała, odremontowana niedawno kaplica. Klekotka, nosząca dawniej nazwę Klapper-berg, słynęła niegdyś z doskonałych walorów widokowych. Całkiem niesłusznie dziś mało kto z nich korzysta.



Mimo iż sam wierzchołek obecnie porasta las, z łąk leżących w szczytowej partii góry, z rejonu wspomnianego gospodarstwa, zobaczyć można jedną z piękniejszych panoram wschodniej części Ziemi Kłodzkiej. Widać stąd między innymi sporą część Gór Złotych, dolinę Białej Łądeckiej, wzniesienia leżących za nią Krowiarek oraz właściwy Masyw Śnieżnika ze Śnieżnikiem i Czarną Górą. Jest to jedno z najlepszych miejsc do podziwiania obu tych gór jednocześnie. Szczególnie atrakcyjne są widoki wczesną wiosną, kiedy leżące niżej wzniesienia zaczynają się zielenić, a na wierzchołku, wyrastającego ponad górną granicę lasu,

Śnieżnika (1426 m) bieli się jeszcze śnieg. Rejon Klekotki to nie jedyne miejsce we Wzgórzach Rogówki, skąd zobaczyć można ciekawe widoki. Równie atrakcyjna pod tym względem jest asfaltowa szosa z Rogówka do Jaskowej Górnej, przecinająca wschodni kraniec Wzgórz. Ponieważ ruch samochodowy jest na niej niewielki, śmiało można ją polecić także piechutom. Wycieczka tą drogą daje okazję do zobaczenia z oddali sporej części północno-zachodniego fragmentu Gór Złotych i sąsiadujących z tym pasmem przez Przełęcz Kłodzką Gór Bardzkich.

Wzgórza Rogówki są prawie bezludne. Poza nielicznymi zabudowaniami Rogówka, jedyną wsią, która leży prawie w całości na ich obszarze, jest Marcinów, będący dobrym punktem wyjścia niemal w każdy zakątek Wzgórz. Wizytę we wsi warto polecić nawet tym, którzy nie zdecydują się na turystyczną penetrację okolicznych wzniesień. Spacer doliną Marcinówki, wzdłuż zabudowań wsi daje bowiem okazję na wejrzenie w ich głąb bez zapuszczania się na terenowe wyrypy. Będąc w Marcinkowie warto zwrócić uwagę nie tylko na stare XIX-wieczne zabudowania, w tym okazałe podworskie folwarki, ale również na niewielką, zadbaną, współczesną kaplicę mszalną, wzniesioną w 1982 r. Przykład nowej świątyni w górskiej, niewielkiej wiosce. Obszar Wzgórz Rogówki to prawdziwy raj dla miłośników nieznakowanych tras turystycznych. Jedynym znakowanym pieszym szlakiem na ich obszarze jest fragment czarnego szlaku im. Jana Szczypińskiego, łączącego Bystrzycę Kłodzką ze Złotym Stokiem. Na terenie Wzgórz Rogówki wiedzie on z Odrzychowic Kłodzkich do Rogówka i dalej doliną Brodka, na granicy z Górami Złotymi do Przeł. Droszkowskiej (510 m), umożliwiając po drodze dotarcie w rejon Klekotki. Szlak ten jest jednak rzadko uczęszczany. Gdzieniedzie ścieżki, którymi prowadzi, zarosnięte są całkiem sporymi krzakami. Momentami łatwo można również zgubić znak szlaku. Na turystyczny wypad, nie tylko tym szlakiem, warto więc zabrać dobrą mapę. Godną

polecenia, choć dość starą, jest mapa topograficzna Głównego Geodety Kraju arkusz 472.44 Kłodzko w podziałce 1:25.000. Obejmuje ona cały obszar Wzgórz Rogówki. Choć nie ma na niej treści turystycznej, może być bardziej przydatna niż mapy stricte turystyczne. Mankamentem tego opracowania jest, niestety, brak, z nielicznymi wyjątkami, nazw poszczególnych szczytów. Do plecaka warto więc dołożyć dodatkowo opracowanie, zawierające ten ważny dla każdego prawdziwego turysty szczegół.

*Bartosz Skowroński*



# MIASTO I GMINA GŁUSZYCA

**G**dzieś, być może dalej niż za siedmioma górami, lasami i morzami, leży miejscina z pozoru taka sama, jak tysiące innych w Polsce. Lecz, jak wiadomo, pozory mylą, a w przypadku Głuszycy, aż za bardzo.

Głuszycza jest położona w woj. dolnośląskim w pow. wałbrzyskim przy drodze nr. 381 łączącej Wałbrzych z Kłodzkiem. Skład gminy, poza miastem Głuszycza, tworzą przyległe wioski: Grzmiąca, Łomnica, Kolce, Sierpnica, a także Głuszycza Górna i Rybnica Mała. Łącznie zajmują one 62 km<sup>2</sup>, z czego miasto około 16 km<sup>2</sup>. W gminie przeważają lasy, które stanowią niemal 52% wszystkich terenów. Grunty orne zajmują 2,5 tys. ha. Granice gminy wyznaczają góry. Północno-zachodnią granicę tworzą Góry Wałbrzyskie z największym szczytem Borową (854 m) i Góry Suche (jedno z pasm Gór Kamiennych) z panoszącym się wszechwładnie Waligórą (936 m), u podnóża którego rozpostarło się słynące w kraju ze sportów zimowych schronisko PTTK „Andrzejówka”. Granicą północno-wschodnią Głuszycy jest masyw Włodarza (811 m) i Jedlińskiej Kopy (730 m), oddzielony od głównego grzbietu Gór Sowich, najstarszych w Sudetach i kryjącym w sobie liczne niezbadane dotąd tajemnice, Obniżeniem Walimskim. Od wschodu króluje, nad płynącymi leniwie wierzchołkami wzgórz, nęcąca wzrok Wielka Sowa (1015 m), intrygująca widoczną przy dobrej pogodzie sterczącą na szczycie budowlą.

Cała historia Głuszycy wiąże się z przemysłem bawełniczym, który upadł wraz z nastaniem nowego wieku. Wtedy to też władze podjęły decyzję o zmianie profilu gminy z przemysłowej na turystyczną. Centrum atrakcji stanowi tajemnicze podziemne miasto „Osówka”. Jest to zespół podziemnych korytarzy wydrążonych przez jeńców z obozów koncentracyjnych w skałach Gór Sowich. Stanowił on podobno ostatnią, główną i największą kwaterę Hitlera budowaną na Dolnym Śląsku. Wokół kompleksu narosło wiele teorii i domysłów, które czynią to miejsce tajemniczym i wyjątkowym. Jedną z teorii głosi, że pod właściwym i wszystkim znanym tym miastem rozciąga się drugie – podziemne. Obok „Osówki” znajdują się dwa inne warte uwagi budynki: tzw. Siłownia i Kasyno. Uwagę przyciąga dach drugiego w kształcie niecki, który docelowo miał być wypełniony roślinnością, tak aby nie był widoczny z góry. Choć Osówka jest miejscem jedynym i niepowtarzalnym, ma jedną wadę. Przesłania inne atrakcje potencjalnym odwiedzającym, którzy w pogoni do „Osówki” często pomijają pozostałe atrakcyjne miejsca i budowle, których w gminie jest przynajmniej kilka.

Choćby ruiny zamku Rogowiec. Obiekt ten ma długą, sięgającą średniowiecza historię. Jego ściany przesiąknięte są historią wojen husyckich i książąt świdnickich. Zamek pełnił funkcję warowną dla szlaków handlowych przebiegających w pobliskich terenach w średniowieczu. Ze szczytu, na którym się znajduje, rozciąga się przepiękna panorama. Obecnie na ruinach trwają prace archeologiczne, które odsłaniają coraz to nowe, zaskakujące fakty. Wracając z zamku watro odwiedzić zabytkowy kościół w Grzmiącej pw. Matki Boskiej Zielnej z 1619 r., który wybudowano w całości z drewna. Jeżeli kogoś interesuje tematyka sakralna, to powinien zobaczyć również trzy inne zabytkowe kościoły. Pierwszy to kościół pw. Matki Boskiej Królowej Polski z 1804 r., znajdujący się w Głuszycy Górnej. Aż do 1946 r. służył ewangelikom, następnie został przystosowany na świątynię katolicką. Uwagę zwraca bogate klasycystyczne wnętrze, chrzcielnica z 1809 r. oraz olejne obrazy. Drugi to kościół pomocniczy, również w Głuszycy Górnej. Powstał w XVI w., a wybudowany został w stylu neogotyckim. Wewnątrz znajduje się obraz Wniebowzięcia NMP z XVIII w. oraz Droga Krzyżowa z XIX w.; trzeci natomiast to kościół pw. Matki Boskiej Śnieżnej z 1564 r., który zwiedzić możemy udając się do Sierpnicy. Warto też zobaczyć dwa inne budynki: w pierw pałac fabrykanta. Zwraca on na siebie uwagę eklektycznym stylem z elementami secesji. Data jego powstania to 1894 r. Kolejny budynek to Zajazd pod Jeleniem, którego powstanie datuje się na 1768 r. Obydwa budynki możemy znaleźć przy ul. Grunwaldzkiej w Głuszycy.

Na uwagę i poświęcenie chwili czasu zasługuje cmentarz ofiar nazizmu w Kolcach. Pochowano tam ludzi, którzy dokonali żywota w okolicznych obozach. Znajduje się tu 25 grobów zbiorowych i jest to miejsce spoczynku dla 2000 osób. W centralnym miejscu wznosi się obelisk ku czci ofiar walczących z hitleryzmem. Dla ludzi sportu warto wspomnieć o jednych z najlepszych w Polsce

trasach MTB, które z roku na rok zyskują uznanie w oczach coraz większej liczby miłośników jazdy na rowerze po terenach górskich. W zimie warto odwiedzić wyciągi orczykowe w Łomnicy. Pierwszy ma długość 276 m, drugi 425 m. U stóp wyciągu znajduje się Łomnicka Chata, czyli miejsce, gdzie możemy się posilić, gdy zmęczą nas szusy na dwóch bądź jednej desce. Po tych wszystkich wojażach trzeba zaznać snu. Jedno z najlepszych miejsc to ryglowy dom mieszkalny w Rybnicy Małej. Kiedyś był to młyn-gospoda o konstrukcji drewniano-murowanej, częściowo przysłupowej. Wzniesiony w 1713 r., przebudowano go około 1790 r. Dziś jest to stylowy budynek agroturystyczny. Wybierając go na nocleg możemy upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: zwiedzić zabytkowy budynek i zaznać snu w niepowtarzalnym miejscu, gdzie będziemy z okien widzieć piękne góry i spacerujące po nich muflony i borsuki. Jeżeli dla kogoś to wciąż mało, może odwiedzić dolinę pięciu stawów nieopodal centrum Głuszycy, skalny punkt widokowy, tzw. „skałkę”, lub stary kamieniołom. Korzystając z dwóch pieszych przejść granicznych możemy przestąpić granicę i odwiedzić południowych sąsiadów, Czechów. Warto z tych przejść skorzystać, gdyż podczas wędrówki towarzyszyć będzie piękna, górską przyrodą. Przejścia znajdują się w Łomnicy i Głuszycy Górnej.

Wszystkie te atrakcje składają się na niezapomnianą wycieczkę, która z pewnością na długo pozostanie w pamięci każdego, kto lubi przygodę i aktywne spędzanie czasu. Jeżeli ktoś zdecyduje się odwiedzić to miejsce, musi liczyć się z tym, że jego serce zostanie przeszyte pięknem i urokiem tych okolic, tak jak Głuszycyca jest przeszyta rzeką Bystrzycą. Nie trać czasu i czym prędzej przyjaciół zbież, i sprawdź to wszystko, drogi Czytelniku!

*Lukasz Rutowicz*

---

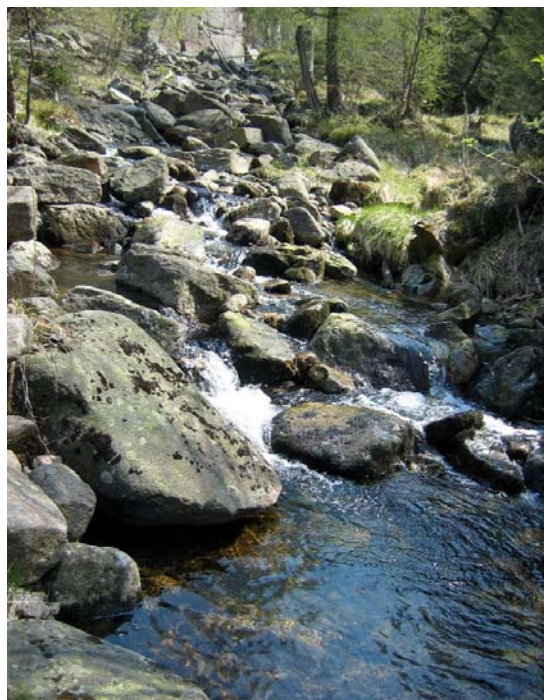
## Karkonoskie kaskady i wodospadziki

**T**o najwyższe pasmo sudeckie piętrzyło się w czasie kolejnych orogenez nierównomiernie. Ponadto różnice strukturalne w granicie monzonitowym, z którego zbudowana jest ta silnie zwarta kopuła, pierwotnie głęboko zalegająca intruzja, spowodowały, że wytworzyły się w niej liczne progi i załamania stoków. Spływająca z nich woda musiała więc pokonywać je drążąc w skale mniej lub bardziej głębokie przejścia. Najsilniejsze z nich to znane wodospady: Kamieńczyka, Szklarki i Podgórznej. Stoki bez progów, ale bardzo strome, jak w przypadku Śnieżki, dały asumpt do wytworzenia ciągu kaskad, na podobieństwo tatrzańskich siklaw – jak Łomniczki, choć generalnie mniejszych. Jest przy tym kilka takich miejsc w Karkonoszach, uchodzących uwadze turystów, jako że leżą z dala od szlaków, albo nie są odpowiednio rozreklamowane. Odznaczają się jednak swoim urokiem i interesującą formą. O jednym z takich – powstałym na Piszczyku powyżej Kowar, niedawno pisałem (*Krótką wycieczka przez karkonoskie Uroczysko*. NS 2011 nr e-5). Przedstawmy teraz inne.

Począwszy od zachodu zaczynajmy od **Wodospadu Wrzosówki**. Jest to nieduża kaskada na wysokości 655 m poniżej Skalnych Baszt, który tworzy ów potok zasilany uchodzącym nieco powyżej Polskim Potokiem. Urok miejsca tworzy skalne koryto i strome ściany jaru oraz otoczenie lasu mieszanego regla dolnego. Po 1945 r. stanowisko uległo zapomnieniu, acz ma malowniczy charakter, nieco powyżej Jagniątkowa, w sąsiedztwie I Drogi. Dalej na wschód trzeba się wybrać do **Srebrnych Kaskad**, które powstały na północnym podnóżu Tępego Szczytu na wysokości 910 m, nieco powyżej dopływu do Podgórznej (przed 1945 r. zwanej Szyszakową Wodą). Tworzą one bardzo malowniczy zakątek, ukryty w leśnych ostępach zwanych W Kleszczach – ujętych bowiem biegiem wymienionych potoków, na Średniaku (około 1215 m), będącym w istocie mało wydatnym grzbiecikiem wybiegającym z Tępego Szczytu (1388 m). Wody Srebrnego Potoku, płynącego z Kotła Smogorni, opadają tu poniżej Ptasich Skał z kilku skalnych progów. Dojście do Kaskad jest łatwe – wygodną drogą, wybiegającą z Drogi Sudeckiej powyżej Przesieki. Trzeba jednak pokonać potok (po kamieniach i głazach), jako że Kleszczowy Most – tuż poniżej opisywanego miejsca, jest zerwany. Można dla wzbogacenia wycieczki ruszyć wyżej słabo widoczną ścieżką, szybko stromiejącą, do przepięknych Ptasich Skał na Ptasiaku (1046 m). Rozciągają się nadto malownicze widoki na grzbiet graniczny i Pogórze Karkonoskie.



**Srebrne Kaskady**



**Wodospad Myi**



**Szwedzkie Skały**



**Wodospad Jodłówki**

Nieco dalej, w sąsiedniej dolinie, u podnóża monumentalnych wręcz Szwedzkich skał znajduje się następne stanowisko. **Wodospad Myi** stanowi w istocie ciąg niedużych kaskad na wysokości 860 m. Z uwagi na malownicze położenie w skalistej i zalesionej dolince był on niegdyś popularnym celem wycieczek. Zbliżyć tu nie jest tak trudno – z Chomontowej Drogi, która też łączy się w dole z Drogą Sudecką, należy na wysokości Słonecznika (ale ta skała znajduje się wysoko na grzbiecie!) odbić na zachód i gruntową drogą zejść do doliny Myi. Po przekroczeniu potoku ścieżka biegnie wzdłuż lewej krawędzi doliny, która ulega szybkiemu pogłębieniu. Wprawdzie otwierają się ładne widoki na wymienione Skały, ale żeby zobaczyć ów wodospad trzeba dość karkołomnie zejść nisko do wody. Na szczęście, jest to poza terenem Karkonoskiego Parku Narodowego. Ścieżka dociera natomiast do cmentarzyka przy Drodze Sudeckiej. Ostatni z tej grupy cudów natury to **Wodospad Jodłówki**, który obejmuje malowniczy ciąg niewielkich kaskad, powstałych malowniczej dolince Jodłówki powyżej Borowic, na wysokości 800 m. Potok płynie tu skalistym korytem poprzez las, tuż poniżej żółtego szlaku z Borowic do Chomontowej Drogi (dalej na Starą Polanę). Krótkie zejście doń nie jest oznakowane, prowadzi jednak dość wyraźna ścieżka do zniszczonego mostku. Szum wody pozwala wszakże zlokalizować to stanowisko.

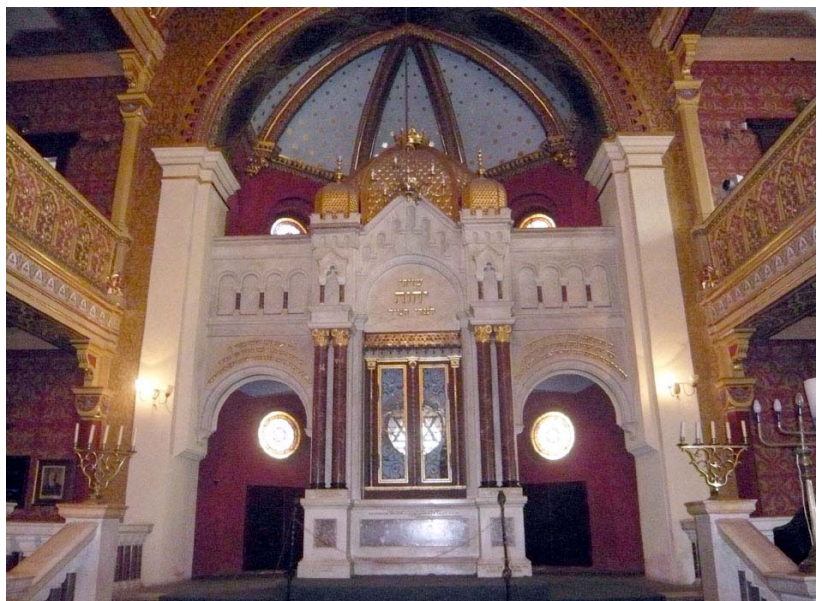
Warto więc zboczyć (poza Parkiem) na liczne dukty i ścieżki, jakie oplatają podnóże granicznego grzbietu. Da to szansę poznania mało odwiedzanych miejsc, nacieszyć się ich oryginalnością i pięknem.

*Krzysztof R. Mazurski*

## Szalom aleichem – krakowski Kazimierz (cz. 2)

**S**ztuka żydowska ma charakter judaistyczny, który ściśle wyznaczał jej ramy. W synagogach zakazany był wizerunek ludzi. Jednak w synagodze Kupa patrzę na Noego. To rzadkość, prawdopodobnie spowodowana złagodzeniem Tory. Z siedmiu zachowanych synagog, jedna – Remu, stanowi ważne miejsce dla Żydów z całego świata. To do niej przybywają zewsząd, by modlić się. Synagogę przewodniki określają „czynnym ośrodkiem życia religijnego Żydów”. Na przyległym do synagogi cmentarzu spoczywa rabin Mojżesz Isserles (zwany w skrócie Remus), od którego nazwę wzięła synagoga. Pomimo całkowitej zagłady cmentarza nagrobek rabina przetrwał w dobrym stanie, co odbierane jest przez Żydów jako „znak jego świętości i mocy” i istotny powód, by przybywać w to miejsce. Porządkując cmentarz, nagrobki odkopano, ułożono. Ze wszystkich pomniejszych wydobytych fragmentów utworzono „Ścianę Płaczu”. Nagrobki w swej formie są surowe i jednocześnie zdobne. Wykute ornamenty roślin, wizerunki zwierząt mają swoją symbolikę. Wraz z napisami tworzą bogatą informację o zmarłym. Na nagrobkach układa się kamienie – w myśl zasady: „kwiaty dla żywych, kamienie dla zmarłych”. Pod liczne z nich wsunięte są listy. Żydzi wierzą, że pośrednictwo zmarłych w ich modlitwie i prośbach jest skuteczne. Zwyczaj kładzenia kamieni nie jest wymogiem religijnym, lecz raczej zwyczajowym. Dokładnie nie wiadomo, skąd się wziął. Uważa się, że z okresu, gdy zwłoki chowano na pustyni i kamieniami znaczone groby. Mówi się też, że każdy, kto przechodził obok takiego grobu, czuł się w obowiązku dołożyć kamień, by lepiej zabezpieczyć zwłoki przed dostępem zwierząt (zwłoki z konieczności chowano dość płytko). Obecnie synagoga Remu z zewnątrz opleciona jest rusztowaniem i głębokimi wykopami. Informuje się o jej remoncie, choć wewnątrz jest dostępne. Większość z synagog pełni dziś funkcje edukacyjne: odbywają się w nich spotkania, prelekcje, warsztaty, wystawy, koncerty – walory akustyczne tych obiektów są nie do przecenienia.

Kierując się przewodnikiem można pospacerować uliczkami i zaułkami, na których kiedyś tętniło inne życie, ale też miała miejsce niewyobrażalna ludzka tragedia. Oto zaułek między ulicami Józefa i Rabina Meiselsa – tu kręcone były dramatyczne sceny do filmu „Lista Schindlera” – przesiedlenie Żydów do getta na osiedlu Podgórze. Obecnie to jedno z bardziej urokliwych zakątków. Wiktor Zin w „Pięknie utraconym” charakteryzuje żydowskie miasto tak: „domy tłoczyły się, stały jeden przy drugim, rozbudowane poddasza, facjatki, zaułki, mroczne sienie, tajemnicze przejścia (...) środowisko dzielnicy żydowskiej tworzyło egzotyczny świat piękna zupełnie odrębnego”. Choć Kazimierz zachował wiele cech, o których pisze Zin, to jednak dzisiaj trudno doszukać się elementu dominującego, który odróżniał dom chrześcijański od domu żydowskiego. Futryny drzwi frontowych pozbawione są ważnego elementu: z prawej strony drzwi charakterystycznego wycięcia, w którym umieszczano kawałki pergaminu z tekstem świętym. Zin pisze: „podczas okupacji żandarmi bagnietami niszczyli ów schówek pastwiąc się nad kartką z hebrajskimi literami.





Nie wiedzieli lub wiedzieć nie chcieli, że rozprawiają się z Dekalogiem Mojżesza, (...) osobliwym zbiorem nakazów, których sensu jak dotąd czas nie potrafił ani podważyć, ani obalić”. Znajomy krakowski przewodnik mówił mi, że na Kazimierzu mieszka obecnie około dwustu Żydów starszego pokolenia i liczba ta z przyczyn naturalnych stale się pomniejsza. Partery domów nadal pełnią funkcje handlowe, jednak ich charakter uległ zmianie. Wprawdzie szyldy informują nas, że właśnie w tym miejscu znajduje się „Salon Mód” Szymona Kaca, a opodal „Skład Towarów Różnych” Chajima Kohana czy też stolarz Benjamin Holzer, to jednak podchodząc bliżej

orientujemy się, że są to kawiarnie, hoteliki, galerie itp.

Na ul. Szerokiej duży napis „Rubinstein” na jednym z budynków może sugerować, że w tym domu urodziła się i mieszkała słynna na cały świat Helena Rubinstein. Faktycznie rodzina jej mieszkała w suterenie domu nieco dalej (nr 14). Tej pochodzącej z biednej rodziny żydowskiej dziewczynie, emigrującej do Australii, matka dała kremy własnej roboty, które w wymagającym klimacie zrobiły furorę. Taki był początek jej oszałamiającego sukcesu i bogactwa w branży kosmetycznej. Na ul. Szerokiej natknęłam się na dwa punkty ulicznych sprzedawców: stragan z żydowskimi amuletami, o znaczeniu których wcześniej dowiedziałam się w muzeum, oraz sprzedawcę koszernych lodów z wystawionym przez rabina certyfikatem koszerności – były pyszne. Cytowana przeze mnie Malka Kafka wyjaśnia, jak należy rozumieć pojęcie „koszerny”. Znaczy to zdatny do spożycia przez Żyda według prawa żydowskiego. To prawo wywodzi się z Pięcioksięgu Mojżesza, czyli z Tory. Tora określa, które pokarmy są dozwolone, które nie. Zasadą koszerności jest pojęcie, iż to, „co robimy ze swoim ciałem, ma wpływ na naszą duszę”. Pokarmy muszą być czyste, tzn. pozbawione toksyn, mięso zwierząt dopuszczonych do spożywania musi pochodzić z rytualnego uboju. Rytuał ten to sposób pozbawienia życia zwierzęcia tak, by nie odczuwało bólu, strachu, nie było chore, nie nosiło śladów znęcania się nad nim. Np. niekoszerna (trefna) jest dziczyzna, bo nie można zabijać zwierząt dla przyjemności. Nie można też łączyć pewnych pokarmów, np. mleka z mięsem. Stąd, gdy trafiłam do koszerniej restauracji „The Olive Tree” na ul. Kupa 6, kelnerka odmówiła mi podania kawy z mlekiem do stolika z podanym daniem. Przygotowała

osobny w małej odległości, do którego przeszłam po posiłku, by móc napić się kawy. Malka Kafka podkreśla, że nie ma jednej kuchni żydowskiej. Ich kuchnia to wpływy kuchni krajów, w których Żydzi żyli i żyją. Zamówiłam danie znamionujące izraelskie smaki. Przyznaję, że wpływ kuchni polskiej na żydowską – czy też odwrotnie, odpowiada mi bardziej. Restauracja „Ariel” na ul. Szerokiej, choć już niekoszerna, poleca naprawdę pyszny pieróg po żydowsku. Żywność koszerną można dostać w sklepiku przy synagodze



Izaaka. Nad tym, czy produkt jest koszerne, czy nie, pracują powołani rabini, którzy kontrolują sposób jej produkcji i wydają stosowne certyfikaty. Jeśli ktoś nie chce zawracać sobie głowy specyfiką kuchni żydowskiej, to pewnie będzie usatysfakcjonowany zapiekanką serwowaną w okrągłaku (dawnej rytualnej żydowskiej rzeźni) u „Endziora” na pl. Nowym, zwanym żydowskim (plac ten stanowił scenę dla pożaru w Kalińcu z filmu „Noce i dnie” w reżyserii Jerzego Antczaka). Jak głosi fama, u „Endziora” podają najlepsze zapiekanki w Polsce – prosto z pieca. I chyba coś w tym jest.

Nad Kazimierzem zachodzi słońce. O zmierzchu wszystko przycicha, ruch staje się powolniejszy, choć i za dnia ma puls małego miasteczka. Zapalają się świece na kawiarnianych stolikach. Kontury dachów rozmywają się, a od ścian domów odbija się echo czystego głosu młodej dziewczyny z koncertu żydowskiej muzyki, którym można się uraczyć.

*Koniec  
Izabela Kopeć*

---

## Solina

### czyli o zatracaniu miejsca w miejscu, muszelkach znad morza, górskich oscypkach i nie tylko

**S**olina – zielone wzgórza, dzikie ścieżki, dzicz, głusza, prawdziwa gratka dla turysty-podróżnika. Każdy przewodnik opiewa miejscowość w samych superlatywach, wychwalając jej walory turystyczne, krajobrazowe, czystość wód i powietrza, lecz z pewnością przydałoby się ich gruntowne uaktualnienie. Osobistej weryfikacji opinii o Solinie dokonało kilka wakacyjnych dni, które odsłoniły inne oblicze miejsca.

Solina jest wsią, położoną w woj. podkarpackim nad Zbiornikiem Solińskim. Licząca około 300 mieszkańców miejscowość w sezonie przyciąga niezmiernie rzesze turystów, którzy oczekują wypoczynku wśród lasów, łąk i wody. Od czterdziestu lat na dnie Zalewu Solińskiego spoczywa osada, nazywająca się niegdyś tak jak dziś Solina. Nad powierzchnią wody zachował się wyłącznie pierwotny przysiółek Werlas, jak również osiedle pracownicze elektrowni i zespół obiektów wypoczynkowych. Solina istnieje od XIV w. i jest jedną z najstarszych bieszczadzkich miejscowości. W okresie międzywojennym zamieszkiwała tam ludność różnych narodowości, lecz zaraz po II wojnie światowej wysiedlono stamtąd Ukraińców. Pozostałych 500 mieszkańców przesiedlono przez wzgląd na budowę zapory. Wspomniany Zbiornik jest najciekawszym obiektem tej miejscowości. Powstał w 1968 r. w wyniku spiętrzenia wód Sanu i Solinki oraz zalania dwunastu wsi. Po I wojnie światowej zaczęto wskazywać w planach przełom Sanu między Soliną a Myczkowcami jako dogodną lokalizację dla budowy zapory. Pierwszy projekt pochodził z 1921r., kiedy rozpoczęto budowę zapory we wsi Myczkowce, której jezioro stanowi zbiornik wyrównawczy dla solińskiego. W 1936r. rozpoczęto badania geologiczne, mające na celu potwierdzenie słuszności lokalizacji zapory w Solinie. W okresie II wojny światowej projekt oraz wszelka dokumentacja zaginęły, przez co dopiero w 1953 r. wznowiono badania. Głównym projektantem zapory był Feliks Niczke. Prace budowlane zakończono w 1969 r. Zapora liczy 664 m długości, 12 m szerokości oraz 82 m wysokości, objętość powstały zbiornik ma objętość 760 tys. m<sup>3</sup>. Po lewej stronie obiektu działa elektrownia szczytowo-pompowa. Jej turbiny w dzień produkują energię, zaś w nocy mogą przepompowywać w razie potrzeby wodę z Jez. Myczkowieckiego do Solińskiego z uwagi na możliwość zagospodarowania nadwyżek energii występujących nocą.

#### Jak piraci zdobyli jeziora...

Jez. Solińskie jest największym w Polsce pod względem zgromadzonej wody sztucznym zbiornikiem o powierzchni 21 km<sup>2</sup>. Otaczają go piękne krajobrazy, powstały liczne zatoki i zakola. Na nabrzeżu powstał Ośrodek Usług Wodnych „Biała Flota”. Swoją działalność opiera on głównie na urządzaniu rejsów po jeziorze, a także na wypożyczaniu sprzętów wodnych. Turyści mogą udać się w rejs takimi statkami, jak „Żubr”, „Dariusz”, „Perła Soliny” czy „Bieszczady”. Ponadto można skorzystać z wypożyczalni kajaków, rowerów wodnych, desek surfingowych czy łodzi wiosłowych. Z jeziorem związana jest szeroko rozumiana atrakcyjność turystyczna tego miejsca. Niestety, wyłączne



nastawienie na zysk i chęć zdobycia jak największej liczby turystów skutkuje różnymi zabiegami, niekoniernie trafny. Wielki potencjał miejscowości, „as w rękawie” w ekonomicznej grze o turystę, został zatracony i sprowadzony do masowej i tandetnej próby przyciągnięcia byle czym, bo jakże inaczej można nazwać statek piracki, sterowany przez przebierańca, gromadzący na swym pokładzie rzeszę wczasowiczów. Chciałoby się rzec kolokwialnie: „Co ma piernik do wiatraka?!”. Dlaczego tożsa-

mość miejsca nie wymusza działań dążący do jej zachowania? O ile białe, snujące się po tafli jeziora zagle stanowią jeden z komponentów solińskiego krajobrazu, o tyle pirackie wojaże nie harmonizują z otoczeniem.

### **Pamiętka pamiętce nierówna**

Turysta, oczekujący od miejsca, które zwiedza nieco więcej niż „pamiętka z wakacji”, zastanowi się, przechadzając wśród tłumów wokół typowych straganików kupieckich, nad faktem, co jest typowe w tym miejscu? Co stanowi produkt regionalny? Z czego słynie miejscowość? Wśród natłoku potencjalnych pamiętek z Soliny nie można dostrzec niczego wyróżniającego się. Można kupić oscypki w Podhala, muszle z Kołobrzegu i rosyjskie matrioski. Wszystko i nic. Nic, co mogłoby przypomnieć po latach, co interesującego zobaczyliśmy w tym miejscu. Najbardziej interesującym w całym straganowym przedsięwzięciu jest fakt, że niemal na każdym produkcie widnieje nieodzowny napis „Made in China”. Ciężko określić, czy większym wstydem jest nie przywieźć pamiętki z miejsca, w którym się było, czy skusić się straganową ofertą. Zdawałoby się, że produktem, a w zasadzie potrawą promującą miejscowość mógłby być pstrąg, dumnie panoszący się wokół zapory. Faktem jest, iż można go zjeść w niektórych restauracjach, jednakże nie jest on promowany na szeroką skalę, bądź natłok wielobranżowości i wielotematyczności otoczenia nie pozwala na jego wyróżnienie się.

### **Na błędnym szlaku**

Bieszczadzkie widoki i pejzaże zachęcają do pieszych wędrówek i odkrywania nieznanych zakątków. Dla wędrowca-laika, takiego jak ja, podstawowym krokiem w przemierzaniu bieszczadzkich szlaków jest zaopatrzenie się przede wszystkim w mapę i zapoznanie z możliwościami i kierunkami wędrowania. Na turystę czekają liczne szlaki piesze i rowerowe, łączące miejscowość z Polańczykiem, Jaworem, Myczkowcami czy Bóbrką, co zachęca do porannego spakowania plecaka i wyruszenia w drogę. Cóż można rzec o szlakach pieszych? O ile istnieją na mapie, o tyle w rzeczywistości już niekoniernie. Pierwsza z moich bieszczadzskich wędrówek zakończyła się w środku ciemnej głuszy, z kilkudziesięciominutową przerwą na studiowanie mapy i szukanie drogi powrotnej. Niejednoznaczność w oznakowaniu tras pieszych stanowi problem, zwłaszcza dla niedoświadczonych łazików.

Mimo to, przewodnik nie pomylił się w opisie bardzo ciekawego szlaku rowerowego, łączącego Solinę z Bóbrką, wsią oddaloną o 2,5 km, leżącą między jeziorami Solińskim a Myczkowieckim. W Bóbrce cichnie gwar, charakterystyczny dla Soliny, i wszystko ogarnia cisza i spokój. Miejscowość oferuje wiele tras spacerowych po dawnych kamieniołomach, a także kąpielisko wraz z wypożyczalnią sprzętu nad Jez. Myczkowieckim. Niewątpliwie wielką atrakcją jest nieczynny już kamieniołom, położony na zachód od wsi, zlokalizowany na południowo-wschodnim stoku góry Koziniec. Piękne widoki z owej góry, zarówno na zalew, jak i otaczające krajobrazy, komponujące się z pełzającym po zboczach słońcem, są w stanie zachwycić każdego. Ponadto warto odwiedzić w Bóbrce liczne galerie i pracownie, których wytwory stanowią o tożsamości miejsca (czego brak w Solinie). Wart zobaczenia jest Dom Twórczy „Le-Garaż”, pracownia bibułkarstwa „Bazyl”, pracownia sztuki użytkowej „Brosta” czy „Galeria rzeźb przydrożnych”, mieszcząca jedenaście rzeźb związanych z legendami

i podaniami ziemi bieszczadzkiej. Na trasie zwiedzania nie sposób pominąć dawnej murowanej cerkwi z 1937 r., która po przebudowie w 1973 r. przejęła funkcje rzymskokatolickiego kościoła parafialnego p.w. Najśw. Serca Pana Jezusa. Niezwykle interesującym obiektem jest też murowana, przydrożna kapliczka, pochodząca z 1848 r., stojącą na trasie w kierunku Myczkowiec. Związana jest z nią historia, z której zasłynęła wieś. W 1932 r. chłopci, uzbrojeni w kosy, stanęli w obronie owej kapliczki, która upamiętniała zniesienie pańszczyzny.

Konkludując, w Solinie lepiej wybierać szlaki częściej i bardziej uczęszczane przez turystów niżeli dzikie, rzadko przecierane, zwłaszcza, jeżeli jesteśmy niedoświadczonymi wędrowcami. W Solinie występuje stanowczy brak dobrego oznakowania szlaków i tablic informacyjnych.

### Śmieciowy problem

Wczesno poranny spacer po zaporze solińskiej, którą przechadzają się o tej porze tylko nieliczni, otwiera przerażający widok zaśmieconych placyków, przepelnionych kubłów na śmieci i ich niezmierzonych ilości wokół. Ponadto każde najbliższe zakrzaczenie w pobliżu ulic i ścieżek traktowane są jak kontenery na odpady i publiczne toalety. W Solinie śmieci znajdują się niemal wszędzie. Poczynając od ulic, a kończąc na leśnych ścieżkach, plaży i wodach jeziora można spotkać zarówno pływające w wodzie opony, opakowania po olejach i farbach, jak i wyrzucane do lasów zużyte sprzęty AGD, a także pozostałości po plenerowych imprezach i piknikach. Z jednej strony wina za zaśmiecanie Soliny jest oczywista i znajduje się po stronie turystów, jednakże zastanawiający jest fakt, dlaczego służby porządkowe (które niewątpliwie w tak popularnej i tłumnie odwiedzanej miejscowości powinny działać), nie ustawią większej liczby pojemników na odpady, widząc, iż te aktualnie nie wystarczają?

Regularne rozmieszczenie większej liczby koszy na śmieci niewątpliwie zatrzymałoby proces masowego zaśmiecania miejscowości i jej najbliższego otoczenia. Władze Soliny powinny zwrócić szczególną uwagę na „śmieciowy problem”, gdyż nie ma nic bardziej frustrującego niż podziwianie uroków bieszczadzkich krajobrazów w otoczeniu hałd odpadów. Sprawna polityka gminy i stanowcze działania są niezbędne dla utrzymania atrakcyjności miejscowości.



Interesujące jest także, na co wydatkowane są pobierane od wczasowiczów opłaty klimatyczne, służące utrzymaniu czystości powietrza, zieleni i wody...

### Solińskie „chinatown”

Zastanawiając się, jak wygląda typowa zabudowa Soliny, czym się charakteryzuje, wyróżnia spośród innych, nie można wskazać konkretnej odpowiedzi. Trudno określić bryłę budynku, jego formę, rodzaj pokrycia dachowego czy frontów. W jednej z wypowiedzi prezes Związku Elektryków Wodnych Solina-Myczkowiec, Józef Folcik określił zabudowę wsi jako „chinatown”. Jest to określenie idealnie opisujące architektoniczny bałagan w miejscowości. Domy przybierające dziwaczne kształty, nieforemne obiekty natłok wszystkiego i niczego, gdzie sporadycznie wyłania się, np. dom czy restauracja współgrająca z otoczeniem bieszczadzkich gór i lasów. Brak estetyki w tworzeniu przestrzeni miejsca skazuje miejscowość na bałagan i chaos przestrzenny, a przez to niemożność stworzenia wnętrza wpasowanego w krajobraz i spójnych wewnętrznie. Całość nieładu dopełniają aż dwa wesołe miasteczka, których forma wyraźnie odstaje od całości. Tego typu brak identyfikacji miejsca z otoczeniem nie służy pozytywnie, ani w odniesieniu do budowania marketingu usług turystycznych, ani w odniesieniu do wyglądu miejsca.

## Cena cenę pogania

Cechą charakterystyczną miejscowości turystycznych jest fakt, iż marketing miejsca wpływa na wzrost cen produktów, zwłaszcza podstawowych, które turyści będą zmuszeni kupić. Jest to sytuacja całkowicie normalna, gdyż miejscowi sklepikarze często z sezonowych utargów utrzymują się cały rok. Cały pogład dotyczący owej normalności legł w gruzach w momencie, gdy przyszło mi za butelkę wody mineralnej zapłacić 5,50 zł. Nie da się ukryć, iż mimo świadomości podwyżki nie godzimy się na taki wyzysk. Niestety, z uwagi na fakt, iż sklepów typowo spożywczych w Solinie jest bardzo mało, sklepikarze bezkarnie narzucają marżę.

## Dzikość Bieszczadów zanika

Nasuwać się pytania: Gdzie są Bieszczady, o których opowiadali nam rodzice? Gdzie znajduje się ta głusza i dzikość miejsc, w których można było się schronić przed całym światem? W opinii Międzynarodowej Organizacji Turystycznej, Bieszczady są najbardziej atrakcyjnym turystycznie rejonem Europy. Zmianie uległa forma uprawianej turystyki w tym rejonie. Wyprawy z plecakiem, w którym znajdują się wyłącznie najpotrzebniejsze rzeczy, mapa i kilka groszy, należą już do rzadkości.



Po pierwsze, przysłowiowe kilka groszy w obecnych realiach nie wystarcza na takie wędrowki jak dawniej, a po drugie – coraz częściej polityka miejsca nastawiona jest na ponowne przyciągnięcie turysty za wszelką cenę, przez co oferuje się mu wachlarz przedziwnych usług, ofert i możliwości spędzania wolnego czasu. Celem jest, by każdy znalazł coś dla siebie, niezależnie od tego, czy przyjechał nad morze i może będzie miał ochotę na oscypka, czy też zamierzał powędrować po górach, a jednak zechciałby skorzystać z nowoczesnego aquaparku i kupić kubek

z delfinkiem, miejscowa oferta obejmie każdą, najdziwniejszą usługę. Oczywiście jest, iż postęp techniczny, zmiany mentalne i obyczajowe wymuszają dostosowywanie się warunków do okoliczności, jednakże warto by na chwilę przystanąć i zastanowić się, co jest dla nas naprawdę ważne. Czy od wypoczynku oczekujemy przeciskania się w tłumie turystów, czy chwili wytchnienia i oderwania się od spraw codziennych? Idealnym byłoby, aby to wyłącznie przyroda i walor miejsca walczył swym urokiem o turystę, bez zbędnych zabiegów marketingowych, ofert i promocji.

## W roli wyjaśnienia...

Chciałoby się, aby słowa znanej piosenki „Zielone wzgórza nad Soliną i zapomnianych ścieżek ślad...” były nadal aktualne w odniesieniu do tej jakże w gruncie pięknej miejscowości, lecz przytłoczonej masą zbędności. Przedstawione opinia i ocena są wyłącznie subiektywnymi odczuciami i przemyśleniami. Być może sytuacja uległa zmianie. Być może mój rok był tym pechowym w historii Soliny i spowodował tak negatywną ocenę z mojej strony. Być może wrócić tam kiedyś, żeby się przekonać. Być może.

*Żaneta Jarosławska*



## W cieniu Książa – wędrówka przez Pogórze Wałbrzyskie

**Z**amek Książ, leżący w granicach Wałbrzycha, uważany za trzeci, co do wielkości w kraju, jest największą atrakcją nie tylko tego miasta, ale i Sudetów i całego Śląska. Śmiało można powiedzieć, że jest też jedną z większych atrakcji w Polsce. Równie ciekawe jak sam zamek są również jego najbliższe okolice. Zwykle pomijane przez turystów, choć niesłusznie. Przelomowe doliny rzeczne, ruiny zamków, stare kościołki wiejskie, krzyże pokutne, niezwykła flora, wielkopłytkowe bloki mieszkalne na tle gór (tak coś takiego też może być atrakcją), to tylko cząstka tego, co oferuje Pogórze Wałbrzyskie. Proponowana trasa pozwala na poznanie walorów tej części Sudetów. Spokojnie przejdziemy ją przy sprzyjających warunkach pogodowych w około 6 godz. Faktycznie wędrówka potrwa pewnie dłużej. Około 6 godz. to czas samego marszu, bez zwiedzania mijanych na trasie ruin zamków.

Wędrówkę rozpoczynamy na wałbrzyskim Podzamczu, konkretnie na przyst. autobusowym komunikacji miejskiej „Aleja Podwale-Forteczna”. Z centrum miasta lub z dworca kolejowego Wałbrzych-Miasto dojedziemy tu autobusem linii „C” (kursuje w dni robocze do około godz. 17) lub „D” (kursuje w dni robocze po godz. 17 oraz w soboty, niedziele i święta). Dużo rzadziej kursują tu (z dworca Miasto) autobusy linii „4”. Skąd nazwa osiedla? Pochodzi ona właśnie od pobliskiego zespołu zamkowego. Podzamcze to największe osiedle mieszkaniowe Wałbrzycha. Typowe blokowisko, gęsto zabudowane w dużej mierze wysokimi budynkami z wielkiej płyty. Otoczenie jego jest jednak niezwykle atrakcyjne, o czym przekonamy się wkrótce po rozpoczęciu wędrówki z tego miejsca.

Z przystanku ruszamy w stronę skrzyżowania al. Podwale z al. de Gaulle’a i ul. Gagarina. Na nowszych mapach zaznaczany jest tu czerwony szlak (rozpoczynający się w rejonie przyst. „Aleja Podwale-Palisadowa”). W terenie znaków nie widać. Nie dochodząc do wspomnianego skrzyżowania skręcamy po chwili w lewo w trudną do przegapienia rozdeptaną ścieżkę, schodzącą w dół i łączącą się zaraz z polną drogą. Przekraczamy mostkiem Szczawnik, podążając dalej lekko do góry wśród nowej zabudowy jednorodzinnej. Dawniej w okolicy były tu łąki i sielski wiejski krajobraz. Pod koniec lat 80. ubiegłego wieku niczym nadzwyczajnym nie były też krowy pasące się w pobliżu wysokich bloków powstającego sukcesywnie Podzamcza. Podchodziły nawet w rejon dzisiejszej ul. Palisadowej. Widoki były dość egzotyczne. Dwunastokondygnacyjny blok, a przed nim krowa. Nic w tym nie było dziwnego. Jesteśmy już bowiem w Szczawienku – dawnej wsi, na terenie której wyrosło Podzamcze. Teraz Szczawienko jest integralną i dynamicznie rozwijającą się częścią Wałbrzycha. Jedną z większych atrakcji jest widoczny z dróżki na prawo kościół p.w. św. Anny. Zwraca uwagę żółtą elewacją z daleka widoczną wieżą, nakrytej cebulastym blaszanym hełmem.

Na najbliższym skrzyżowaniu gruntowych dróg skręcamy w lewo. Dalej wśród zabudowy domków jednorodzinnych podążamy w stronę widocznego lasu. Po chwili łagodnie do góry. Zaraz z lewej panorama północnej części Wałbrzycha (wspomniane wyżej bloki na tle gór – widok dla wielu pewnie niecodzienny). Od skrzyżowania idziemy zgodnie z żółto-niebieskimi znakami Szlaku Ułanów Legii Nadwiślańskiej. Szlak prowadzi nas przez łąkę, potem wzdłuż krawędzi lasu i po około 25-30 min. od startu dochodzimy do tabliczki z napisem „KSIAŻAŃSKI/PARK KRAJOBRAZOWY/PRAWEM CHRONIONY”. Jesteśmy u wejścia doń. Skręcamy w lewo, kierując się na Stary Książ. Już tu możemy podziwiać urodę najniższego piętra roślinności górskiej Sudetów – piętra pogórze. W tutejszych lasach spotkać można wiele chronionych roślin i niemało ciekawych zwierząt. Do tych ostatnich zaliczają się muflony – coraz częściej promowane jako jeden z symboli Wałbrzycha. Mimo że nie ma ich tu za wiele, w trudno dostępnych „kątach” tutejszych lasów da się je zobaczyć, nawet w biały



**Centrum Świebodzic na tle Masywu Ślęży - widok ze zboczy koty 384 m**

dzień. Droga, którą idziemy, po chwili przekracza dolinę niskiego potoczku (tu Szlak Ułanów odbija w prawo). My zaś zielonym szlakiem, towarzyszącym nam już wcześniej od wejścia do lasu, podchodzimy pod górę. Po około 10-15 min. od wejścia do lasu docieramy do Starego Książa. Budowla, której ruiny widzimy,

pochodzi z końca XVIII w. Przez wiele lat sądzono więc, że określenie „stary” w stosunku do tego miejsca jest niewłaściwe. Jednak według nowszych badań tu właśnie istnieć miał już w IX-X w. gródek, na którym pod koniec XIII lub na pocz. XIV w. wyrósł niewielki zamek. Na podstawie dokonanych tu odkryć (m.in. fragmentów ceramiki) przyjmuje się więc obecnie, że Stary Książ może być starszy od właściwego Książa. Tym samym jego nazwa byłaby uzasadniona. Tak czy inaczej, warto go obejrzeć. Jedna uwaga. Zwiedzając ruiny posadowione na wysokim cyplu skalnym należy zachować szczególną ostrożność. Ściany przepaścistego Wąwozu Pełcznicy (faktycznie to raczej kanion), którym płynie Pełcznica, osiągają tu około 65 m wysokości. Jeden niewłaściwy krok może spowodować nieszczęście.

Ze rejonu Starego Książa kierujemy się dalej w stronę Skiby. Zn. zielone, którymi dotąd wędrowaliśmy, odbijają po chwili w dół, stąd trzymamy się szlaku czerwonego (ten sam, o którym było na początku – tu już dobrze oznakowany). Wkrótce osiągamy prawie ledwo co widoczny wierzchołek wymienionego wzniesienia (nie zaznaczający się w terenie szczyt 433 m jest nieco na lewo). Widać stąd ładnie najnowsze skrzydło Książa. Ścieżka szlaku czerwonego oddala się od krawędzi Wąwozu Pełcznicy, by po chwili dotrzeć do równie stromej krawędzi Wąwozu Szczawnika. Dnem płynie tam potok, który przekraczaliśmy na początku wędrowki. Widać stąd m.in. Trójgarb – jedną z najbardziej znanych gór w rejonie Wałbrzycha. Za tym miejscem ścieżka szlaku czerwonego staje się mniej czytelna, nieco kluczy. Po chwili kłopoty z orientacją w terenie powinny jednak ustać. Droga jest bardziej widoczna. W około 15-20 min. marszu od Skiby dochodzimy do prostopadłego do naszego duktuleśnego, gdzie skręcamy w lewo. Po następnych 10 min. jesteśmy z kolei na mostku nad Szczawnikiem. Tu w prawo i po dalszych 5 min. pierwsze zabudowania, gdzie skręcamy również w prawo. Dotąd od początku wędrowki, nie licząc zwiedzania Starego Książa około 1.30 godz. To już Pełcznica – dawna wieś, dziś część Świebodzic, leżąca u ujścia Szczawnika do rzeki o tej samej nazwie co osiedle. Przechodzimy w dół wśród zabudowań dalej za zn. czerwonymi. Towarzyszą tu również zn. niebieskie (Podzamecze – cis „Bolko”). Zaraz mijamy pętlę autobusową i zabudowania przemysłowe. Po chwili z lewej dochodzi zielony Szlak Zamków Piastowskich. Po dalszych 5 min. z prawej ukazuje się piękny widok wylotu przełomowej doliny Pełcznicy, nad którą majestatycznie wznosi się zespół zamkowy Książa. Widok niezapomniany. Nieco dalej od tego miejsca szlak czerwony i niebieski skręca w prawo. My zaś nadal prosto w dół bez znaków, aż do miejsca, w którym osiągamy prowadzący z dołu czarny szlak rowerowy. „Łapiemy” jego oznakowanie (trochę trzeba go „powyglądać”) i zgodnie z nim klucząc, początkowo wśród zabudowań Pełcznicy, później wśród ogrodów działkowych, łagodnie wspinamy się nad dolinę Pełcznicy. Mijamy po drodze „GRÓB NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA” – samotna mogiła obok tablicy z ogłoszeniami dla działkowców. Wkrótce za tym miejscem rozpoczynamy podejście zboczem charakterystycznego, choć bezimiennego wzniesienia (384 m). Ścieżka za ogrodami jest szeroka i czytelna. Po chwili łagodnego podejścia osiągamy punkt około 345 m n.p.m. Szczyt wspomnianej koty pozostaje z lewej. Wkrótce wkraczamy na asfalt. W tym miejscu warto się zatrzymać. Nie tylko dlatego, że panorama centrum Świebodzic stąd przednia, ale

również dlatego, że doszliśmy niemal do krańca Sudetów w tym rejonie. Tak się bowiem składa, że kota 384 m jest w tym miejscu ostatnim (pierwszym) wzniesieniem nie tylko Pogórza Wałbrzyskiego, ale i Sudetów. Widoczne w dole z prawej centrum Świebodzic leży już w Obniżeniu Podsudeckim, będącym częścią Przedgórze Sudeckiego. Mamy więc niebywałą okazję balansować na granicy gór i ich przedgórze, którego lwią część, aż po Wzgórze Strzegomskie i Masyw Ślęży, widać stąd znakomicie.

Z tego miejsca asfaltową dróżką zdążamy w dół. Na pierwszym skrzyżowaniu skręcamy w lewo. Dotąd od początku wędrowki około 2.20 godz. Dalej początkowo chodnikiem koło cmentarza, później poboczem szosy łączącej Świebodzicę z Chwaliszowem podążamy znowu pod górę, po prawej mając raz po raz widok na Sosnowkę (402 m). Z lewej z kolei odsłania się co chwilę opisywana wyżej kota 384 m. Biegnie tędy niebieski szlak rowerowy. Nie ma to dla nas jednak większego znaczenia. Choć wędrowka poboczem szosy wymaga zachowania szczególnej ostrożności, warto podjąć ten trud. Kiedy bowiem osiągniemy skrzyżowanie naszej drogi z szosą do Cieszowa (około 25 min. od wspomnianego cmentarza), zobaczymy ze skraju pół piękną panoramę Świebodzic z Masywem Ślęży w tle. Jeśli będziemy wędrować w weekend niewykluczone, że nad naszymi głowami latać będą niewielkie awionetki, wykonujące loty turystyczne (na opłotkach Świebodzic jest lotnisko sportowe).

Od wspomnianego skrzyżowania zdążamy dalej poboczem szosy (zachowanie szczególnej ostrożności nadal aktualne). Po chwili osiąga ona grzbiecik. Później prowadzi przez dłuższy czas prawie płasko. Rozpoczyna się kolejny atrakcyjny widokowo odcinek trasy. Z lewej zobaczymy bowiem zaraz sporą część Gór Wałbrzyskich z Borową (w tle jej zaś dwa kominy, szczególnie efektowny ten bardziej na prawo – komin elektrociepłowni górującej nad Podzamczem i Szczawienkiem). Widać stąd ponadto duży fragment Gór Kamiennych z Waligórami, a także pięknie wtopiony w las zespół Książa, nad nim zaś Wielką Sowę (1015 m) – najbliższą Wałbrzycha położony „tysięcznik”. Dla tego widoku warto pobyć tu kilka chwil. Niemniej atrakcyjne widoki ukazują się nam, za widocznym z tego miejsca zakrętem szosy, tak z lewej, jak i z prawej jej strony. Dominantą stąd, prócz wspomnianych wyżej gór, jest Chełmiec, Trójgarb i... Śnieżka (stąd też ją widać, nawet okazale). Wędrując dalej poboczem szosy, która skręca dość gwałtownie w prawo, osiągamy wkrótce zabudowania wiejskie. To Cieszów Górny, zwany też Cisowem (obecnie część Cieszowa). Od cmentarza w Świebodzicach dojdziemy tu w około 50-55 min. (około 3.30 godz. od początku naszej trasy). Przechodzimy wśród zabudowań, mijając z lewej budynek dawnej gospody (dom nr 5). Po minięciu ostatniego z lewej zabudowania skręcamy w lewo w polną drogę. Niż z kolei nieco do góry. Wkrótce – około 5 min. od dawnej gospody w Cisowie kolejne atrakcje widokowe. Wymienić wszystkiego się tu nie da, nawet w telegraficznym skrócie. Dodać więc tylko trzeba, że stąd chyba najciekawiej prezentują się bloki dwóch największych osiedli Wałbrzycha (Podzamcze i Piaskowej Góry). Osiedla te na tle takich szczytów, jak Wielka Sowa, Wołowiec, Borowa, Waligóra, Suchawa, Bukowiec czy Stożek Wielki, widziane jednocześnie to coś, co trzeba zobaczyć na żywo.

Po chwili polna droga, którą idziemy, opada w dół i po około 15 min. od dawnej gospody w Cisowie dochodzimy na skraj lasu (Książański Park Krajobrazowy). Tu z lewej ciekawy, wkopany w ziemię po ramiona, krzyż pokutny. Skręcamy w prawo



„Przeprawa” przez Czyżynkę pod ruinami zamku Cisy



### **Podzamcze i Piaskowa Góra na tle Gór Wałbrzyskich - widok z okolic zabudowań Cieszowa Górnego**

i zgodnie ze zn. żółtymi i zielonymi, na które wkroczyliśmy, po 10 min. marszu w dół (około 4 godz. z Podzamcza) stajemy nad łożyskiem Czyżynki, u stóp ruin zamku Cisy. Kto chciałby je zwiedzić, musi wiedzieć, że dostać się do nich stąd niełatwo. Nad potokiem nie ma tu mostu. Ułożone betonowe płyty zwykle są mocno zanurzone w dość bystrym nurcie wody. Wiele osób zdejmuje w tym miejscu buty i przechodzi przez wodę (trzeba uważać!). Najwygodniejsza droga do ruin to szlak niebieski ze Strugi (wówczas nie przekraczamy potoku). Problem w tym, że to trasa z zupełnie innego kierunku. Same Cisy warte są zobaczenia. To ruiny typowo górskiego zamku, osadzonego na stromym wzniesieniu. Historycznie miejsce to jest jednym ze śladów dawnej polskości tych terenów. Terenów przecięż przez wieki niebędących polskimi. Za budowniczego zamku uważa się bowiem księcia świdnickiego Bolka I lub nawet Bolesława II Rogatkę. Oczywiście, że niecała budowla, która dziś widzimy, powstała za panowania Piastów Śląskich, ale o tym można poczytać gdzie indziej.

Spod skrzyżowania szlaków u stóp Cisów ruszamy w stronę Strugi, w górę doliny Czyżynki. Wędrujemy znów, niemal płasko, Szlakiem Ułanów. Z leśnej drogi po około 25 min. od skrzyżowania pod Cisami skręca on w lewo, po czym wspina się dość stromo do góry. Osiągamy tak wyraźną drogę leśną łączącą Pełcznicę ze Strugą. Po chwili szlak niezauważalnie z niej schodzi w prawo. My prosto. Z lewej zaraz niewielki ogrodzony staw, w tle bloki Podzamcza. Wkrótce pierwsze zabudowania Strugi. Bez zwiedzania ruin Starego Książa i Cisów docieramy tu od początku naszej trasy w niecałe 5 godz. Przechodzimy przez sporą część wsi i nie dochodząc w rejon kościoła, odbijamy po około 15 min. od wejścia w obręb zabudowań wioski na lewo w boczną asfaltową drogę. Tu rozpoczyna się ostatnie podejście na naszej trasie. Jesteśmy w dolince bezimiennego dopływu Czyżynki. Po około 10 min. od zabudowań z lewej niewielka grotka. Wkrótce opuszczamy zalesioną część dolinki, z lewej mając ładny widok na rozległy kompleks lasów Książańskiego Parku Krajobrazowego. Po chwili asfalt niespodziewanie urywa się (granica gminy Stare Bogaczowice i miasta Wałbrzycha). Stąd po 5 min. dochodzimy do furtki ogrodów działkowych (największych w Wałbrzychu). Przechodzimy szeroką aleją wśród ogródków. Po osiągnięciu przewyższenia już cały czas w dół. Po 20-25 min. od furtki dochodzimy do al. Podwale na Podzamczu. Tu w prawo i po chwili jesteśmy na przystanku autobusowym „Aleja Podwale-Hetmańska”. Do centrum miasta (Pl. Grunwaldzki – rejon głównego przystanku PKS) oraz do dworca PKP Wałbrzych-Miasto dojechać stąd można linią „A” (dni robocze – do około godz. 17) lub „D” (dni robocze po godz. 17 oraz dni pozostałe).

Na zakończenie warto dodać, że wycieczkę kończymy na wysokości około 403 m n.p.m. Przed oczyma mamy zaś, po drugiej stronie ulicy, najwyżej na Podzamczu położony blok mieszkalny – Hetmańska 2-4.

*Bartosz Skowroński*

## Wybrzeże Kości Słoniowej (2)

### Czarownicy i lekarze

Opuściwszy Abidżan, udałem się na zachód, wzdłuż wybrzeża, by dotrzeć do miasteczka Tabou. Ta niewielka osada, usytuowana nad brzegiem oceanu, tuż przy granicy z Liberią, położona jest w strefie lasów tropikalnych, w tej części kraju, gdzie można jeszcze ujrzeć wielkie obszary pokryte naturalną dżunglą. Wystarczy tylko zejść z błotnistego traktu i zagłębić się na odległość kilkudziesięciu kroków w las, by poczuć się niemal jak Stanley w dorzeczu Kongo. W Tabou spotkałem człowieka, który opowiedział mi historię swej choroby i tego, jak został uleczony. Cierpiał on na poważne, przewlekłe schorzenie skóry, leczenie prowadzone w miejscowym szpitalu przez dyplomowanych specjalistów nie przynosiło efektów. Po kilku miesiącach zdesperowany pacjent udał się do uzdrowiciela, który odkrył, że przyczyną choroby jest fakt, iż chory pokłócił się ze swoją żoną. Niezadowolone żony chorego. Po kuracji polegającej na przywróceniu dobrych stosunków z małżonką, człowiek ów wyzdrowiał i gdy go spotkałem, czuł się znakomicie. Wiara w magię w Afryce jest powszechna i nie zależy od wykształcenia, pozycji społecznej ani nawet wyznania. W czasie swej podróży zdarzało mi się spotkać ludzi rozmaitych wyznań i stanów, chrześcijan, muzułmanów, wyznawców tradycyjnych religii afrykańskich, ludzi po wyższych studiach, urzędników, prostych rolników, robotników i myśliwych, ale żaden z nich nigdy nie zaprzeczył istnieniu magii. Również pochodzenie chorób krajowcy wiążą często z magią. Owszem, niektóre choroby da się, zdaniem tubylców, wytłumaczyć przyczynami naturalnymi i wyleczyć za pomocą lekarstw bądź zabiegów profesjonalnych lekarzy, jednak znacznie częściej choroba, ból i wszelkie zło tłumaczone są świadomą, złośliwą działalnością czarowników. A jeśli choroby są wynikiem działań magicznych, to także ich leczenie musi się opierać na magii.



### Uzdrowiciel René

Na Wybrzeżu Kości Słoniowej, jak wszędzie w Afryce, istnieje wielu ludowych „uzdrowicieli”. Przychodzą do nich ludzie zniechęceni przedłużającą się chorobą, wtedy, gdy metody medycyny nowoczesnej zawodzą. Uzdrowiciel potrafi w sposób zrozumiały dla chorego wytłumaczyć przyczyny jego cierpienia, a także zalecić odpowiednią kurację, która ma prowadzić do wyleczenia. Kuracja taka zazwyczaj mocno odbiega od tego, co my przywykliśmy rozumieć pod pojęciem „leczenia”. Jednym z takich „uzdrowicieli” był René, który kilkanaście kilometrów od Tabou, w dżungli, założył swoją własną wioskę. Przybywają do niego ludzie z najbliższych okolic i z dalszych rejonów, mieszkańcy wsi i miast, ludzie prości i wykształceni, czasem nawet cudzoziemcy. Postanowiłem poznać owego uzdrowiciela i przyjrzeć się jego tajemniczej działalności.

Réné okazał się sympatycznym, niepozornym mężczyzną o dobrotliwym spojrzeniu, w wieku około pięćdziesięciu lat. Chętnie zgodził się porozmawiać, a nawet pozwolił mi, wraz z kilkoma innymi obserwatorami, asystować przy obrzędzie leczenia. Nie mógł oczywiście wyjawić nam wszystkich arkanów swej sztuki, część z nich musiała pozostać jemu tylko znaną tajemnicą. Jemu i jego duchowi opiekuńczemu, właśnie ów duch bowiem, pomaga mu w leczeniu. Członkowie plemienia Kru, z którego wywodził się René, wierzą w istnienie żyjących w lesie, wśród wzgórz i pustkowi, duchów. Część z owych duchów godzi się służyć ludziom i zostają one tzw. duchami opiekuńczymi –

mogą opiekować się danym człowiekiem, rodziną, a nawet całą wsią. Również każdy uzdrowiciel ma swojego ducha opiekuńczego, z którym pozostaje w stałym kontakcie, któremu składa ofiary, i którego nakazów i zakazów przestrzega. Według słów René, podczas obrzędu leczenia uzdrowiciel wpada w trans i kontaktuje się ze swym duchem opiekuńczym. W czasie jego trwania duch wyjawia uzdrowicielowi przyczyny choroby i wskazuje środki zaradcze. Jeśli dany przypadek tego wymaga, René udaje się do buszu, by w odpowiednich miejscach zebrać odpowiednie rośliny i przygotować z nich wywar. Przeważnie jednak kuracja polega na przyznaniu się do jakiejś popełnionej w przeszłości winy i naprawieniu jej, rzadziej na wskazaniu człowieka, który za pomocą magii sprowadził na daną osobę chorobę, i przymuszeniu owego złoczyńcy do zdjęcia czaru.

Przygotowania do ceremonii trwały długo. Na wezwanie bębnow na centralnym placu zgromadzić musieli się wszyscy mieszkańcy wioski, odmowa przybycia równała się przyznaniu do uprawiania czarów. Dwaj muskularni młodzieńcy w spódniczkach z liści palmowych przynieśli gruby, owinięty czerwoną tkaniną kij. W tkaninie tej ukryte były specjalne amulety i magiczne przedmioty. To właśnie w owym kiju miał się objawić duch opiekuńczy René. Bębny zagrały. Duch przybył i ulokował się w tajemniczych przedmiotach ukrytych w czerwonym płótnie. Młodzieńcy wzięli kij na swe barki i poczęli chodzić z nim po placu. Ich ruchy były gwałtowne, często i nieoczekiwanie zmieniali kierunek marszu, a właściwie biegu, wykonywali gwałtowne zwroty. Miało się wrażenie, że to jakby kij nimi steruje, określa szybkość ich kroków i stronę, w którą zacierają. Czasem młodzieńcy zatrzymywali się tuż przed któryś ze zgromadzonych. „Naznaczona” w ten sposób osoba musiała wyjść na środek i „złożyć wyjaśnienia”. Inni wychodzili na plac dobrowolnie, zadając duchowi pytania i prosząc o poradę. Za każdym razem uzdrowiciel zadawał duchowi pytania, na które ów odpowiadał „tak”, co było symbolizowane przez zbliżanie się młodzieńców z kijem, lub „nie”, czemu przyporządkowane było ich cofanie się.

Jako pierwsza wywołana została młoda, szczupła kobieta. Wyglądała żałośnie, przestraszonym wzrokiem patrzyła na otaczający ją krąg ludzi i kij, chowała się za plecy uzdrowiciela. Okazało się, że jej choroba spowodowana jest problemami małżeńskimi. Po krótkiej rozmowie René nakazał jej pogodzić się z mężem i prowadzić normalne życie we wspólnocie wiejskiej. Dużo poważniejszy był przypadek pewnego mężczyzny, który zaprzeczał najpierw wszelkim podejrzeniom. Potem jednak, dzięki kolejno zadawanym pytaniom i odpowiedziom ducha wyszło na jaw, że człowiek ten, współpracując z pewnym czarownikiem, przyczynił się do śmierci swej żony. Jeszcze ciekawsza była sprawa pewnego Liberyjczyka, który, długo „przesłuchiwany” przez ducha, przyznał się do morderstwa. Wobec czarowników, złodziei, morderców i innych złoczyńców nie wyciągano żadnych konsekwencji. Musieli oni po prostu przyznać się do swoich win i, o ile to możliwe, naprawić wyrządzone szkody. Przyzwyczajeni do powszechnego w Afryce braku poszanowania intymności, nie wyglądali na bardzo skrępowanych koniecznością poruszania swych najbardziej osobistych problemów w gronie wielu osób i... duchów. Tylko moment strachu na początku, a potem jakby spadał z nich jakiś ciężar, następowało oczyszczenie. I powrót do zdrowia.

Całą ceremonią kierował René, podczas trwania uroczystości często wpadał on w trans, ale zdawał się ów stan kontrolować, w wybranym przez siebie czasie mógł w niego wejść i zeń wydobyć się. Inaczej rzecz się miała z kilkoma z zebranych kobiet, które zostały „opętane” przez inne duchy, przybyły na obrzęd bez zaproszenia. Każdemu z owych duchów był właściwy inny sposób zachowania i poruszania się, toteż każda z kobiet tańczyła w sobie tylko właściwy sposób. Niektóre dreptały drobnymi kroczkami to w jedną, to w drugą stronę, inne podskakiwały, obracały się, przeginały w tył, jedna z opętanych odeszła daleko od kręgu, spacerowała po wsi, wchodziła do pustych domostw. Trans rozpoznać można było po specyficznym, szklanym spojrzeniu, odległym i niewidzącym, niezrozumiałych okrzykach, gwałtownych ruchach. Gdy muzyka zamierała na chwilę, one przystawały zdezorientowane i niepewne, kołysały się w oczekiwaniu na dźwięk. Po skończonej uroczystości były jakby obudzone ze snu. Nie pamiętały, co się z nimi działo. Uderzająca stała się zmiana ich spojrzenia, mimiki, gestykulacji, zmiana tak wyraźna, że sprawiały wrażenie „nie tych samych” kobiet. Przede wszystkim jednak były zmęczone. Spotkanie z duchami wymaga siły i odwagi, nawet jeśli obrzęd prowadzi tak doświadczony uzdrowiciel, jak René.

*Cdn.*  
*Krzysztof Zadros*

# SKANDYNAWIA

**J**a tam byłam i serce swe zostawiłam. Teraz jest tylko wspomnienie i ogromne pragnienie, by powrócić tam znowu. Przeżyć wszystko od nowa!!! Jak ja tęsknię za tym miejscem! Byłam w Skandynawii i „płynęłam” 16-kilometrowym mostem Oresund do miasta wież – Kopenhagi, stolicy Danii. Część drogi odbyłam podwodnym, czterokilometrowym tunelem. Danię, położoną na około 480 wyspach (z czego 100 zamieszkalnych), zwiedziłam całą. Zwiedzałam siedzibę rodziny królewskiej, dziewiętnastowieczny ratusz, budynek giełdy, siedzibę parlamentu, ogrody królewskie oraz wiele ciekawych pomników, m.in. znanego autora dla dzieci H. Ch. Andersena. I byłam przy osławionej na całym świecie syrenki – symbolu Kopenhagi.

Po dniu pełnym wrażeń wyruszyliśmy do Oslo, mijając po drodze zamek Hamleta w Helsingor. Kolejna stolica skandynawskiego państwa – Norwegii, to miasto tonące w zieleni i posiadające liczne zabytki. Znajduje się tu Instytut Nobla, który każdego roku przyznaje pokojową nagrodę. Oslo to wspaniałe miejsce i chętnie zatrzymałabym się tu dłużej, jednak program imprezy zmuszał do kontynuowania drogi. W drodze do Lillehammer, miasta Igrzysk Olimpijskich w 1994 r. i miejsca niedawnych sukcesów skoczek Adama Małysza (pokonałam te ogromne schody), dalej podziwiałam przeszliczne jeziora polodowcowe. W mieście odwiedziłam największy w całej Skandynawii skansen z zabudowaniami sprzed trzystu lat, pokrytymi trawą, oraz rekonstrukcję kościoła z XII w., podobnego do świątyni Wang w Karpaczu. Dalej podziwiałam królestwo troli, cudownej doliny z wodospadami dochodzącymi do 600 m. Wzdłuż fiordów oblewanych wodami Morza Północnego dojechałam do Trondheim – w średniowiecznej katedrze Nidaros spoczywają szczątki św. Olafa II – władcy, który zaszczerpił chrześcijaństwo na ziemiach Norwegii.

Wśród ośnieżonych szczytów dotarłam do Mosjoen, nocleg w szkole, do której uczęszczają dzieci dopiero od czwartej klasy, gdyż pierwsze trzy lata młodzi Norwegowie, ze względu na małe zasiedlenie terenów, uczą się w domu. Dalej trasa wiodła drogą polarną, przy budowie której zginęło 2 tys. osób. Mijając lodowiec Svartisen (słone wzgórze), położony najniżej w Europie, dotarłam do granicy białych nocy na Kole Podbiegunowym. Trwa tu 72-dobowy dzień od połowy maja do końca lipca (udało się przekonać, gdyż byłam w lipcu). W kompleksie budynków na Kole Podbiegunowym zwiedzałam muzeum i oglądałam film o powstaniu zorzy polarnej. Dalszy etap podróży przebiegał trasą widokową przez wysokie góry wzdłuż malowniczych fiordów. Mijałam niezliczone dłuższe i krótsze tunele. Podziwiałam też Lofoty – skaliste wyspy z dziewiczą przyrodą. Jest tu miejscowość z najkrótszą nazwą miasta na świecie. Po przepłynięciu kolejnym promem dotarłam do Hakvik, miejscowości odległej o 12 km od Narwiku, gdzie znajduje się cmentarz 97. polskich żołnierzy, poległych w 1940 r. w walce o wolność Norwegii i Polski. Złożyliśmy wiązanki biało-czerwonych goździków i zapaliliśmy znicze na ich grobach. Na pl. Gromplass postawiono pomnik polskiego marynarza dla upamiętnienia zatopionego przez niemieckie samoloty niszczyciela ORP Grom (08.05.1940 r.).

Kolejnym celem podróży było największe miasto północnej Norwegii – Tromsø, liczące 68 tys. mieszkańców, zwane Paryżem Północy lub Bramą Północy. Jego ciekawostką są



**Okolice Narwiku. Fot. Krzysztof R. Mazurski**

niespotykane nigdzie podmiejskie tunele tak duże, że posiadają trzy ronda usprawniające komunikację. Ja przejeżdżałam przez dwa z nich. W mieście jest godna podziwu dziewiętnastowieczna katedra luterkańska, kościół katolicki, w którym pracują polscy księża, muzeum sztuki oraz Planetarium Zorzy Polarnej. Podziwiać mogłam również katedrę arktyczną, zbudowaną w kształcie góry lodowej z jedenastu elementów betonowych, symbolizujących apostołów Jezusa. Dalej trasa wiodła przez surowe wybrzeże północnej Norwegii, gdzie mogłam podziwiać Ocean Arktyczny i lodowce na szczytach gór. Objeżdżałam fiordy, podziwiając ich dostojne piękno i jechałam niezliczoną ilością tuneli. Przy drodze pasły się stada reniferów. Kierowca musiał się zatrzymać, ponieważ spacerowały one sobie na drodze i nie miały zamiaru nas przepuścić czując się tak, jak w Indii święte krowy. Tego dnia nocowaliśmy wysoko w górach, w hotelu pokrytym darnią. Na kolację jadłam potrawę z renifera, a o północy podziwiałam świecące wysoko nad horyzontem słońce. Również tu spotkałam się z Saami – Lapończykami, prowadzącymi koczownicze życie. Zajmują się oni wypasem reniferów, garbowaniem skór oraz wyrabianiem pamiątek z kości i rogów reniferów. Kolejny etap podróży to droga przez tunele. Po przejechaniu najdłuższego z nich, 28-kilometrowego (na powierzchni 7 km, a reszta pod wodą), wszyscy odetchnęli z ulgą. Wijącymi się serpentynami, wśród roślinności typowo tundrowej, dojechaliśmy do celu podróży, Przylądka Północnego Nordkapp: to 307-metrowy klif z kompleksem budynków, zawierających pocztę, restaurację itp. W tunelu, wrytym 15 m pod ziemią, mieszczą się kluby, kawiarnie, witryny wystawowe, kino z pięcioma ekranami oraz kaplica św. Jana. Każdy z uczestników otrzymał certyfikat (pamiątkowy dyplom). Przed godz. 24 na tarasie widokowym po raz kolejny oglądałam słońce o północy.

Następny przystanek to Finlandia, gdzie zatrzymaliśmy się nad jeziorem Inari, które przyozdobione jest około trzystoma wysepkami. Przez wspaniałą fińską Laponię dotarłam do Rovaniemi, wioski św. Mikołaja, leżącej na Kole Polarnym. Św. Mikołaj bawi tu przez cały rok i można z nim porozmawiać, poprosić o prezenty, zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie czy nadać kartki z bożonarodzeniowymi życzeniami – i to zrobiłam. Oczywiście odwiedziłam znajdującą się w pobliżu miasteczka hodowlę psów husky, gdzie uczestniczyłam w pokazie tresury, a ponadto Santa Park (wesołe miasteczko). Jest to rotunda wykuta w skale, a w niej karuzela, kolejki, szkoła św. Mikołaja, gdzie dzieci uczą się malować obrazy, tkąć na krosnach, haftować i łapać na łańcuszek renifery. Spotkałam się też z kolejnym św. Mikołajem, który zaznaczył sobie w atlasie nasze miasto – Wrocław. Otrzymaliśmy od niego pocztówki z dedykacjami. Udzieliła mi się świąteczna atmosfera Santa Parku, przepiękna zapachem pieczonych pierników i rozbrzmiewająca kolędami. Przez parę godzin zapomniałam, ile mam lat, i bawiłam się jak dziecko. Jadąc brzegiem Zatoki Botnickiej wstąpiłam do Białego Miasta Północy – Oulu. Następnym przystankiem była miejscowość Lahti, gdzie Adam Małysz zdobył złoto. Wjechałam windą na szczyt najwyższej skoczni (80 m), gdzie można było podziwiać piękno tutejszego krajobrazu. Helsinki zwiedzałam, korzystając z usług miejscowej przewodniczki. Zobaczyłam tu wiele ciekawych zabytków, m.in. pl. Senacki, niespotykany kościół wykuty w skale, w którym każdego roku 11. listopada odbywają się polskie koncerty. Nie sposób wymienić wszystkich osobliwości stolicy Finlandii. Ze smutkiem opuściłam piękne miasto i dalej do portu Turku, skąd odpłynęłam 12-piętrowym promem do Szwecji.

Podróż trwała całą noc, a nad ranem już widziałam Sztokholm. Od razu zwiedzanie miasta, m.in. Pałac Królewski, królewska Filharmonia, w której wręczane są nagrody Nobla, natomiast w ratuszu odbywają się bankiety noblistów z udziałem rodziny królewskiej. Oczywiście odwiedziłam muzeum królewskiego okrętu „Vasa”, który zatonął w 1628 r. zaraz po wypłynięciu z portu. Również odwiedziłam letnią rezydencję królewską wzorowaną na francuskim Wersalu.

Półwysep Skandynawski to miejsce, które dla nas jest ziemią egzotyczną, odległą i nieznaną. Fascynujące surowymi, dzikimi krajobrazami, fiordami, wodospadami, tysiącami jezior i malowniczych wysepek. Ludzie dbają o środowisko i zdrowy tryb życia i – co u nas wydaje się niezwykle – z chęcią przesiadają się z samochodu na rower. Skandynawia przyjęła nas piękną, słoneczną pogodą, a zabrane ciepłe ubrania w ogóle się nie przydały. Trasa wycieczki była długa, lecz wszyscy wróciliśmy zadowoleni. Pozostały niezapomniane przeżycia i albumy fotograficzne wypełnione zdjęciami. Wszystkiego nie jestem stanie opisać, to po prostu trzeba zobaczyć! To była moja najpiękniejsza podróż życia.

*Elżbieta Lisiecka*

# PETERSBURG

**W** czasie 21-letniej północnej wojny Rosji ze Szwecją 16(27).05.1703 r. car Piotr I założył twierdzę na Wyspie Zajęczej na Newie. Oznaczało to zwycięstwo Rosji w długotrwałej walce z Niemcami, Finami i Szwedami o ziemię nad Newą. Państwo rosyjskie wyszło ku północnym szlakom handlowym, stając się mocarstwem morskim. Nazwa Sankt Petersburg połączyła imię apostoła Piotra, carskiego patrona, łacińskie sankt (święty) i niemieckie Burg (zamek, miasto). W latach 1914-1924 miasto było Piotrogradem, później Leningradem i od 1991 r. jest znowu Sankt Petersburgiem. Od 1712 do 1918 r. było stolicą imperium. W wyniku twórczości znakomitych architektów i rzeźbiarzy, w tym włoskich i niemieckich, powstały budowle w stylu piotrowskiego baroku, w którym klasycyzm złął się z północnym barokiem holenderskim i niemieckim. W mieście nigdy nie stanęła noga zabójcy. W czasie II wojny światowej wojska hitlerowskie okrążyły miasto. Blokada spowodowała śmierć z głodu 642 tys. mieszkańców, ale nie złamała woli przetrwania pozostałych przy życiu. Po 872 dniach blokady Leningrad znów włączył się w życie kraju.

Obchody 300-lecia miasta w 2003 r. przyczyniły się do odremontowania i odmalowania wielu budynków, zwłaszcza tych najpiękniejszych, barokowych i klasycystycznych pałaców możnowładców z XVIII i XIX w. Petersburg, zbudowany na lądzie i 42 wyspach wzdłuż Newy i 90 naturalnych i sztucznych odnóg rzecznych i kanałów, zasłużenie zyskał miano Wenecji Północy i najbardziej europejskiego miasta Rosji. Dysponując bogatą ofertą teatrów, sal koncertowych i galerii, w oprawie wspaniałej architektury, jest niekwestionowaną kulturalną stolicą Rosji. A ostatnio, po ulokowaniu tu niektórych urzędów centralnych, także drugą stolicą państwa. Od 1990 r. znajduje się na liście światowego dziedzictwa kulturalnego UNESCO. Carska stolica przyciągała Polaków, zwłaszcza tych bogatszych, tych, co robili karierę na carskim dworze lub tych, którzy pozycję zawdzięczali swojemu umysłowi i talentowi. Tu za młodu przebywał król Stanisław August i tu zmarł. Jako zesłaniec był tu Adam Mickiewicz. Działał politycznie książę Adam Czartoryski, a wiek później – Roman Dmowski. Koncertowali Henryk Wieniawski i Ignacy Jan Paderewski. Stanisław Moniuszko pokazywał swoje opery. Także dziś istnieje w Petersburgu Polonia, mająca swoje stowarzyszenie kulturalno-oświatowe, swoją szkołę i gazetę.

Rozpoczynamy zwiedzanie miasta od najstarszej budowli: Twierdzy Pietropawłowskiej, założonej w 1703 r. Pierwsze fortyfikacje z drewna i ziemi już po trzech latach zaczęto przebudowywać, stosując kamień i cegłę. Powstała sześciokątna twierdza z bastionami na narożach. W twierdzy osadzony był przywódca powstania z 1794 r. gen. Tadeusz Kościuszko wraz z adiutantem mjr. Stanisławem Fiszerem i sekretarzem Julianem Ursynem Niemcewiczem. Tu też byli przetrzymywani inni uczestnicy powstania: Tadeusz Mostowski, Tomasz Wawrzecki i Jan Kiliński. Trzydzieści lat później car więził członków Towarzystwa Patriotycznego za sprzyjanie dekabrystom. Przebywali w twierdzy książę Antoni Jabłonowski, hr. Piotr Moszyński i poeta-hrabia Gustaw Olizar. W środku twierdzy wzniesiono sobór św. Piotra i Pawła, początkowo drewniany, później kamienny, barokowy, z wieżą, której połączona iglica sięga 122 m. Dopiero pół wieku temu przewyższyła ją wieża telewizyjna. W soborze leżą szczątki cara Piotra I i jego następców, obok w kaplicy grobowej – szczątki rodziny Romanowów. W 1998 r. pochowano tu też ostatniego cara Mikołaja II, w osiemdziesiąt lat po jego śmierci za Uralem. Sobór łączy dziś funkcję muzealną z sakralną; turystów w święta zastępują prawosławni wierni uczestniczący w nabożeństwach.

Newa, która wypływa z jeziora Ładoga i wpa-  
da do Zatoki Fińskiej, ma długość tylko 74 km, ale jej szerokość w Petersburgu, przeciętnie 500 m, dochodzi u ujścia do 1200 m, a głębokość do 24 m. Jest rzeką żeglowną, w związku z czym mosty w mieście są zwodzone. Dwukrotnie każdej nocy



**Pałac Zimowy**



**Sobór św. Izaaka**

mną inny symbol „drugiej stolicy”: *Miedziany Jeździec*. Opiewany przez Adama Mickiewicza i Aleksandra Puszkina pomnik Piotra I, siedzącego na koniu z podniesionymi przednimi kopytami, trującym węża, który wije mu się u nóg. Ten wąż – to trzeci punkt podparcia dla ogona konia z brązu. Rzeźbiarz Etienne Maurice Falconet postanowił bowiem pójść dalej niż inni w tworzeniu pomników z końmi, które przed nim stały na czterech lub trzech nogach. Na skale tworzącej postument umieszczono napis po rosyjsku i po łacinie: „Piotrowi Pierwszemu Katarzyna Druga” i rok wzniesienia pomnika: 1782. Hitlerowską blokadę miasta pomnik przetrwał obłożony deskami i obsypany ziemią. Dziś jest miejscem, gdzie młode pary małżeńskie fotografują się i składają kwiaty ślubne. Nieco mniej znany, ale jeszcze ciekawszy technicznie jest pomnik cara Mikołaja I z 1859 r., stojący na pl. Izaaka, z drugiej strony soboru św. Izaaka. Tu koń stoi tylko na tylnych nogach, bez dodatkowego trzeciego podparcia. Przeniesienie środka ciężkości nad tylne nogi i dodatkowe ich wzmocnienie stalowymi prętami było trudnym zadaniem technicznym, którego dokonał rzeźbiarz Piotr Klodt.

Sobór św. Izaaka ze złotą kopułą, widoczną z daleka, to największe dzieło architektury klasycyzmu w Petersburgu, największa świątynia miasta i jedna z największych w świecie. Pierwsza drewniana cerkiew (1707) poświęcona została patronowi dnia urodzin Piotra I. Obecna kolosalna budowla sakralna jest w tym miejscu czwartą, która zachowała tego samego patrona. Zaprojektował ją i doglądał budowy Auguste de Montferrand. Budowę rozpoczęto w 1818 r. Trzeba było przewyciężyć wiele trudności, począwszy od wbicia w bagno setek drewnianych pali, poprzez wzmocnienie ścian, by utrzymały ogromną kopułę, aż do postawienia 48 kolumn, każda stanowiąca monolit czerwonego granitu o ciężarze 120 ton. Budowa trwała czterdzieści lat. Powstała świątynia o wysokości 101 m, z czterema portykami na cztery strony świata, z kopułą pokrytą ponad 100 kg złota. Wewnątrz ikostas ma wysokość prawie 70 m. Wnętrza wyłożone są marmurem, malachitem, lazurytem i porfirem, zdobią je malowidła, witraże i mozaiki. Sobór poświęcono 30.05.1858 r. Miesiąc później zmarł jego twórca Montferrand. Wbrew prawosławnemu zwyczajowi jego grób znalazł się w podziemiach świątyni. W czasach radzieckich mieściło się w świątyni muzeum religioznawcze. Dziś jest tu muzeum historyczne, a w święta odbywają się nabożeństwa. Bardzo rozpoznawalnym gmachem starego Petersburga jest Admiralicja, której złota iglica widoczna jest z wielu punktów miasta, bo do niej zbiegają się promieniście ulice z pięciu kierunków. Dzisiejszy klasycystyczny gmach (1823) jest trzecim zaprojektowanym w tym mieście przez Andrieja Zacharowa. Wieloskrzydłowa budowla ma długość ponad 400 m. W centralnej jej części wznosi się 72-metrowa wieża bramna z kopułą, na której posadowiono 23-metrową iglicę, a na niej umieszczono złoty wiatrowskaz-żaglowiec ważący 56 kg.

Oto w skrócie kilka kolejnych znaczących budowli i miejsc. Klasycystyczny Pałac Michajłowski (1825) mieści Muzeum Rosyjskie z 400 tys. dzieł malarstwa i rzeźby twórców

podnosi się je i opuszcza, by umożliwić statkom przepłynięcie w jedną, następnie w drugą stronę. Wówczas zamiera ruch samochodowy i tramwajowy przez Newę. W jedną z czerwcowych białych nocy stałem wśród tłumu ludzi na brzegu i patrzyłem, jak ciężkie przęśla Mostu Błagowieszczeńskiego, zbudowanego przez Stanisława Kierbedzia i otwartego w 1850 r., płynnie się podnoszą, a następnie obserwowałem kawalkadę statków płynących Newą. Petersburg leży na tej samej szerokości geograficznej co Helsinki czy Oslo i jest w czerwcu miastem białych nocy. Zachód słońca po północy jest tu wtedy rzeczą normalną. Oto przede



**Sztab Generalny**

rosyjskich. Przy Newskim Prospekcie znajduje się klasycystyczny Sobór Kazański (1811) z kopułą i półokrągłą kolumnadą, jak na pl. św. Piotra w Rzymie; to świątynia rosyjskiej chwały wojennej, z trofeami wojny z Napoleonem. Przy Newskim Prospekcie stoi też klasycystyczny kościół św. Katarzyny (1783), w którym przez 140 lat spoczywały szczątki króla Stanisława Augusta. Obecnie szczątki króla są w archikatedrze warszawskiej. Cerkiew „Spasa na krwi” (Zbawiciela na krwi) (1907), w miejscu, gdzie zginął car Aleksander II (1881) od bomby polskiego zamachowca, przypomina cerkiew Wasilija Błażennego na pl. Czerwonym w Moskwie. Niebiesko-biały Sobór Smolny (1764) z monasterem i żółto-biały Instytut Smolny (1808) był siedzibą szkoły dla szlachetnie urodzonych pań. Z budynku instytutu w październiku 1917 r. Włodzimierz Lenin kierował rewolucją. Krażownik „Aurora” (wodowany w 1900 r.), który wystrzałem dał sygnał do szturm Pałacu Zimowego, jako muzeum jest na stałe zakotwiczony przy szkole marynarki wojennej. Klasycystyczny gmach Sztabu Generalnego (1829) ogranicza pl. Pałacowy. Na środku placu stoi Kolumna Aleksandra I (1834) o wysokości 47 m, ważąca 600 ton, sławiąca cara-zwycięzcę w wojnie 1812 r., nawiązująca do rzymskiej kolumny Trajana. Od strony Newy pl. Pałacowy zamyka zielono-biała bryła Pałacu Zimowego. Ale on zasługuje na oddzielny artykuł.

Wymienię jeszcze kilka z pozostałych zabytków. Żółte klasycystyczne gmachy Senatu i Synodu (1836) połączone arkadą. Klasycystyczna Akademia Sztabu Generalnego (przebudowa 1783) z portykiem zawierającym osiem kolumn. Klasycystyczny carski Pałac Marmurowy (1785), obłożony brązowym marmurem, miejsce, gdzie Stanisław August Poniatowski spędził ostatni rok swojego życia i gdzie zmarł w 1798 r. Barokowy dom Michaiła Woroncowa (1757), żółty z białymi zdwojonymi kolumnami, gdzie mieścił się Korpus Paziów, wychowujący i kształcący szlacheckie dzieci i młodzież na oficerów armii carskiej. Żółty Teatr Aleksandryjski z białymi kolumnami (1834), siedziba Teatru Puszkina. Zielonkawy eklektyczny budynek (1849) Teatru Maryjskiego (założonego w 1783 r.), miejsce spektakli operowych i baletowych; tu Stanisław Moniuszko pokazał swoją „Halkę” (1870). Przejmujące jest zwiedzanie największej nekropolii II wojny światowej – Cmentarza Piskariowskiego, gdzie leży pół miliona mieszkańców miasta i żołnierzy Frontu Leningradzkiego, walczących z hitlerowskimi wojskami podczas blokady miasta trwającej od 08.09.1941 r. do 27.01.1944 r. Utworzono tu 186 mogił zbiorowych, a na wysokim postumencie stanęła rzeźba Matki-Ojczyzny 6-metrowej wysokości. W 1960 r. cmentarz uzyskał status muzeum.

*Zdjęcia z „Sankt Petersburg”, SŁAWIA: Petersburg 1998*

*Janusz Fuksa*

---

## Ischgl – kiedy sporty zimowe i styl życia przechodzą w nowy wymiar

Ischgl to styl życia! Arena Silvretta, jeden z najbardziej atrakcyjnych terenów sportów zimowych w Alpach, żadnego życzenia nie pozostawia niespełnionym. Ischgl to jednak coś więcej niż tylko narciarska baza: ekscytująca zabawa i wyrafinowani goście, wellness, kulinarne uniesienia i wspaniałe imprezy z gwiazdami światowego formatu czynią Ischgl prawdziwą metropolią stylu. Aż 238 km doskonale przygotowanych tras narciarskich z gwarancją śniegu zapewniają na Arenie Silvretta nieprzerwaną zimową zabawę od końca listopada aż do początku maja. Najnowocześniejsze wyciągi i kolejki przewożą narciarzy z samego centrum miejscowości prosto na arenę sportów zimowych, która wśród zachwycającej panoramy gór i szczytów jest jednocześnie areną prawdziwych muzycznych klejnotów. Pierwsza liga międzynarodowych gwiazd występuje tu dwa razy do roku na legendarnej już scenie – to tu, na wysokości 2300 m, odbywają się słynne nie tylko w Austrii koncerty „Top of the Mountain”. Ischgl jest poza tym królestwem różnorodności: zjazdy na nartach w towarzystwie światowej sławy kucharzy albo szaleństwo w największym parku freestylem Europy – Ischgl zasługuje wręcz na miano synonimu różnorodności! Tego niezwykle całokształtu dopełniają kulinarne doznania w stylowych lokalach położonych na terenie całego ośrodka narciarskiego. Kiedy dzień na nartach dobiega końca, zabawa rozpoczyna się poza stokiem. Nigdzie *après ski* nie jest bardziej ekscytujące niż w Ischgl. Wybór lokalii, których różnorodność przyprawia o zawrót głowy, wyróżnia Ischgl na tle innych alpejskich ośrodków, nie tylko w Austrii. To samo dotyczy się sceny klubowej, na której nocne marki tańczą i flirtują do wschodu słońca. Kto swój czas woli spędzać spokojniej, skorzysta zapewne z chęcią z jednej z wielu saun, stref wellness lub w którymś z basenów w jednym z hoteli lub w Silvretta-Center. A może lepiej spędzić wieczór w górskim, przytulnym schronisku lub na sankach, na oświetlonej trasie?

*AOIT*

## Mijające krajobrazy Ziemi Jeleniogórskiej

**W** sobotę 5.11.2011 r. w jeleniogórskiej Książnicy Karkonoskiej odbyło się seminarium poświęcone przemijaniu krajobrazu. Pokazano na nim zmiany, jakie zaszły na ziemi jeleniogórskiej. Ziemi niezwykle bogatej w zabytki architektury i walory przyrodnicze oraz właśnie krajobrazowe. Ze względu na zmiany choćby granic następowała wymiana ludności. Jedni wyjeżdżali stąd, inni przyjeżdżali. Skutkowało to zupełnie nowym sposobem życia, nieraz zupełnie odmiennym od poprzedników. Często byli to ludzie innych wyznań religijnych. Wszystko to miało wpływ również na budowane wówczas nowe obiekty. Powstawały nowe trasy komunikacyjne. Ale nie tylko. Patrząc na to z perspektywy czasu nie możemy nie dostrzec tych zmian, zwłaszcza że zachowało się wiele pocztówek przedstawiających wygląd poszczególnych budowli w tamtych latach. Duże zmiany następowały podczas kataklizmów, jakie nawiedzały ten teren. Regulowano rzeki, budowano sztuczne zbiorniki wodne i linie kolejowe. Wszystkie te zmiany, zauważane teraz, po wielu latach, są zmianami wywołującymi jakieś reakcje. Raz będzie to zdziwienie, raz zaskoczenie, a czasami będzie to oburzenie. Często obserwując na co dzień swoje otoczenie nie dostrzegamy zmian, które dostrzegą ludzie przyjeżdżający tu po kilku latach. Dla mieszkańców będzie to przecież widok codzienny, dla nich będzie to zauważalna różnica.

W celu uczulenia na takie czasami drobne zmiany Komisja Krajoznawcza ZG Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego podjęła się organizowania spotkań pod wspólną nazwą „Mijające krajobrazy Polski”. To, które odbyło się w Jeleniej Górze, pozwoliło ukazać zmiany, jakie zaszły w najbliższym jej otoczeniu. Spotkanie doszło do skutku dzięki wsparciu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego, Starostwa Powiatowego w Jeleniej Górze, Prezydenta Miasta Jelenia Góra oraz firmie Agro Elektro Gaz. Organizacji podjął się autor. Udało mu się przekonać, zresztą bez większych problemów, wielu znanych i cenionych w regionie fascynatów, którzy zgodzili się podzielić z innymi swoją wiedzę oraz posiadanymi zbiorami. Zaowocowało to pięknymi pokazami. Bardzo ciekawe było wystąpienie Marcina Zawily, który przypomniał wielu zapomnianych ludzi. Dotknął on w swoim wystąpieniu zmian okresu powojennego, ale przedstawił je zupełnie nieszablonowo. Widać było, że wywołał spore zainteresowanie. Dobrze, że prezydent Miasta Jeleniej Góry po pracy ma chęć zajmować się jeszcze czymś poza sprawami związanymi z jego zarządzaniem. Andrzej Raj, od wielu lat dbający o Karkonoski Park Narodowy jako jego dyrektor, pokazał, jak wielkie zmiany nastąpiły w roślinności. Jak w ciągu ćwierćwiecza rósł las, jak był on niszczone przez różne czynniki i jak był odbudowywany. Stanisław Firszt próbował prześledzić zmiany, jakie nastąpiły w krajobrazie od czasów średniowiecznych po dzisiaj. Ivo Łaborewicz przekopał dokumenty zgromadzone w prowadzonym przez niego Archiwum Państwowym, by pokazać wszystkim materiały obrazujące turystykę w okresie powojennym. Cezary Wiklik opowiedział o czasach, kiedy po Jeleniej Górze kursowały tramwaje, o ich początkach, jak i smutnym ich końcu.

Wystąpił też zespół muzyczny „Szyszak” w składzie: Aleksandra Jurczenko, Zbigniew Jurczenko, Maciej Gałęski, Witold Stambulski i Marek Piwowarski. Zaśpiewali oni teksty promujące piękno





naszych gór. Jest to obecnie chyba jedyny zespół śpiewający taki repertuar. Przemysław Wiater przekazał wiadomości związane z księgami i znakami walońskimi. Andrzej Mateusiak omówił, jak zmieniał się zamek Chojnik. Pokazał wiele ciekawostek mniejszych czy większych, najczęściej niezauważanych przez

zwiedzających. Jarosław Szczyżowski przybliżył postać człowieka, bez którego wiedza o tym terenie byłaby o wiele uboższa. Był nim Willy Erich Peuckert. Na końcu autor zaprezentował wiele zdjęć ukazujących obiekty turystyczne, które utraciliśmy w okresie powojennym. Pokazał także zmiany w istniejących obiektach. Oczywiście, ze względu na małą ilość czasu, nie były to wszystkie tego typu budowle.



Opisane spotkanie zgromadziło tak wielką ilość osób, że część z przybyłych musiała stać w korytarzu. Dzięki jednak objęciu spotkania patronatem medialnym przez Telewizję Dami będzie możliwość przypomnienia sobie choćby w części tego, co przedstawiono. Cieszy także zainteresowanie tematem przez miasto, czego wynikiem jest objęcie seminarium Patronatem Honorowym przez Prezydenta Miasta Jelenia Góra Marcina Zawilę.

*Autorzy fotografii: 1. Piotr Leszczyński, 2-3. Krzysztof Tęcza*

**Krzysztof Tęcza**

## „Wysoki Szczebel” pod Karkonoszami

**W**schronisku w Stanisławowie odbyła się 5.11.2011 r. narada, poświęcona turystyce osób niepełnosprawnych. Dyskutowano nad jak najlepszym wykorzystaniem dostępnych środków umożliwiających osobom niepełnosprawnym uczestniczenie w życiu turystycznym, ponieważ od dłuższego czasu ilość takich osób w Polsce systematycznie rośnie. Oczywiście imprezy turystyczne, w których udział biorą zarówno osoby zdrowe, jak i niepełnosprawne, organizowane są w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym już od wielu lat, dlatego istnieje w nim spora grupa doświadczonych w tym zakresie działaczy. Co ciekawe, coraz częściej pojawiają się wśród nich instruktorzy sami będący osobami niepełnosprawnymi. Świadczy to o tym, że osoby takie nie tylko nie poddają się, ale chcą pomagać innym.

Przybyli tu członkowie Komisji Krajoznawczej ZG PTTK oraz Rady ds. Turystyki Osób Niepełnosprawnych. Wymiana doświadczeń pomiędzy nimi powinna skutkować nową, lepszą jakością podejmowanych przedsięwzięć. Ostatnio coraz więcej pojawia się specjalnych makiet, które ułatwiają



osobom niewidomym czy niedowidzącym zapoznać się z konkretnym zabytkiem. Mówi się też sporo o audiodeskrypcji. W naradzie uczestniczyła osoba niewidoma, która korzysta ze wspomnianej metody, potwierdzając, iż jest to metoda pozwalająca „zobaczenie” nawet takich szczegółów, jakich nie widzą osoby widzące. Na zebraniu ustalono zasady organizacyjne na przyszłorocznym Centralnym Zlocie Aktywu Krajoznawczego. Pozwoli to osobom niepełnosprawnym,

korzystającym z wydzielonych tras, w pełni zapoznać się z walorami krajoznawczymi okolic Sosnowca. Jednocześnie nie będą te osoby obciążeniem dla pozostałych grup turystów. Zdecydowano także o przeprowadzeniu forum poświęconego turystyce osób niepełnosprawnych oraz o zorganizowaniu specjalnego szkolenia dla działaczy, którzy wyrażą wolę zajmowania się nimi.

Gmina Podgórzyn stara się wychodzić naprzeciw osobom niepełnosprawnym, zebranie więc zorganizowane zostało właśnie w Stanisławowie, gdzie otworzono nowe schronisko młodzieżowe. Osoby niepełnosprawne, biorące udział w zebraniu, mogły osobiście sprawdzić, jak został przygotowany budynek pod ich potrzeby. W schronisku jest, co prawda tylko jeden, ale w pełni dostosowany pokój z odpowiednim węzłem sanitarnym dla osób poruszających się na wózku inwalidzkim. Na parterze nie ma żadnych progów, co pozwala korzystać takim turystom ze wszystkich znajdujących się tam pomieszczeń oraz swobodnie wyjechać na ogrodzony plac przed budynkiem. Wywołuje to uczucie bezpieczeństwa, co jest bardzo ważne. Takie bezpieczeństwo ważne jest także dla prowadzących obiekt, nie muszą bowiem oni ciągle mieć oko na podopiecznych. Mogą ten czas poświęcić dla innych przebywających tu wycieczkowiczów.

Muszę powiedzieć, że zaproszone przeze mnie osoby do Stanisławowa były pod wrażeniem tego miejsca, a i bardzo mile wspominają kontakty z napotkanymi podczas krótkich spacerów mieszkańcami. Nie przypuszczali, że jest tutaj tak uroczo. Już umieszczają Stanisławów w planach przyszłych wycieczek. Myślę, że mogę pozwolić sobie, w imieniu gospodarzy, zaprosić wszystkich chętnych do odwiedzania gminy Podgórzyn. Walory krajoznawcze, jakimi dysponuje ta gmina, na pewno usatysfakcjonują nawet największego malkontenta.

*Krzysztof Tęcza*

---

## Złoty Marek

**N**asz Kolega Marek Szot z Oddziału PTTK „Fabryczna” we Wrocławiu został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Odebrał go 16.12.2011 r. w warszawskiej siedzibie ZG PTTK z rąk Podsekretarza Stanu w Ministerstwie Sportu i Turystyki Katarzyny Sobierajskiej. To szczególne wyróżnienie dla Marka i wielka radość w naszym klubie „Łazek”. Doceniono Jego olbrzymi wkład w pracę nie tylko w Towarzystwie. Ostatnie lata to szczególnie wysiłek w działalności związanej z turystyką górską sudecką i w skali krajowej. Marek, mimo zmęczenia podróżą, dotarł wieczorem na spotkanie świąteczne „Łazka”. Ileż było gratulacji i serdeczności. Nie obyło się bez okolicznościowego toastu.

Marku! Jesteśmy z Ciebie dumni.

*Wojtek Radliński*

# Niedługo Puchar w Jakuszykach

**N**arciarze biegowi z niepokojem obserwowali poczynania aury pod koniec roku. W ubiegłych sezonach w Szklarskiej Porębie można było już korzystać z krótkich tras narciarskich. W 2011 r. aura narciarzom splotała figla. Choć można też zaryzykować stwierdzenie, że natura wspiera organizatorów, którzy mogą przez ten czas przeprowadzić inwestycje niezbędne do przeprowadzenia zawodów Pucharu Świata FIS w Narciarstwie Biegowym, które 17 i 18 lutego odbędą się w Szklarskiej Porębie. – Chciałbym, aby te dni były narciarskim świętem w Polsce. – mówi burmistrz Grzegorz Sokoliński. – Pani Justyna Kowalczyk w wywiadach medialnych nie ukrywa, że to będzie dla niej najważniejszy start w tym sezonie. Ale mamy też nadzieję, że doskonale wypadną też pozostali nasi reprezentanci i reprezentantki. Dziś już wiadomo, że na Polanie Jakuszyckiej zmieści się nie więcej niż 5000 kibiców. To mało, biorąc pod uwagę, że pod skocznią w Zakopanem mieści się ich ponad 4 razy więcej. Dlatego organizatorzy, choć w listopadzie jeszcze nie uruchomili sprzedaży biletów na zawody z udziałem Justyny Kowalczyk, już od wielu dni odbierali zniecierpliwione telefony od kibiców, którzy chcieliby zarezerwować miejsca. Prosimy o jeszcze kilka dni cierpliwości. – mówi Jacek Jaskowiak, przewodniczący komitetu organizacyjnego. – Wiemy, że kibice za wszelką cenę chcieliby być na Polanie Jakuszyckiej razem z Justyną Kowalczyk. Niestety, nie uda się to wszystkim. Bilety będą rozprowadzane prawdopodobnie od początku grudnia i będzie można je kupić wyłącznie przez internet. Kto pierwszy, ten lepszy.

Polana Jakuszycka, położona na przełęczy Gór Izerskich i Karkonoszy, 9 km od centrum Szklarskiej Poręby, w dniu zawodów będzie obszarem zamkniętym dla osób, które nie posiadają wejściówek. Wzdłuż drogi krajowej nr 3 nie będzie można się zatrzymywać i parkować. Kibiców z biletami na zimowy stadion będą dowoziły bezpłatnie autobusy i szyno busy ze Szklarskiej Poręby i okolic. To oznacza, że ci, którzy nie kupią biletów, będą musieli oglądać zawody na ekranach telewizorów.

Biuro Prasowe Komitetu Organizacyjnego Pucharu Świata w Szklarskiej Porębie:

[www.pucharswiata2012.pl](http://www.pucharswiata2012.pl), [www.szklarskaporeba.pl](http://www.szklarskaporeba.pl).

Newsletter DOT

## Ziemia Kłodzka ma encyklopedię

**W** Muzeum Ziemi Kłodzkiej w Kłodzku odbyło się 25. listopada ub.r. spotkanie podsumowujące opublikowanie IV, ostatniego tomu *Popularnej Encyklopedii Ziemi Kłodzkiej* wydanej przez Kłodzkie Towarzystwo Oświatowe. Specjalnie z tej okazji wybito okolicznościowego 13. Talara Kłodzkiego. Koszt publikacji wyniósł 300 tys. zł. Zawiera ona 22 tys. haseł z różnych aspektów tego regionu. *Encyklopedia* ukazała się dzięki dotacji m.in. Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego, Starosty Kłodzkiego i Urzędu Miasta Kłodzka. Wszystkich gości przywitał Janusz Laska, który wraz z Mieczysławem Kowalcze byli głównymi redaktorami publikacji. Głos zabrał też prezes Kłodzkiego Towarzystwa Oświatowego Jerzy Didyk. Podkreślono, że *Encyklopedia* ma być dla wszystkich, stąd w tytule nazwa „popularna”. Będzie ona budować tożsamość





mieszkańców Ziemi Kłodzkiej. Spotkanie uświetnił wykład M. Ruchniewicz o historii Ziemi Kłodzkiej oraz kłodzkich dziejach z perspektywy miłośników lektur historyczno-krajoznawczych. *Encyklopedię* rozpatruje się już pod kątem wątpliwości: dlaczego ktoś w niej jest, a kogoś nie ma, dlaczego jedno zdjęcie zamieszczono, a inne nie. Będzie można to uzupełnić

w kolejnych wydaniach, o ile takie się ukażą. *Encyklopedia* jest dedykowana „mieszkańcom Ziemi Kłodzkiej i tym, co ją kochają”. Podziękowania złożono wszystkim (45) autorom haseł za mrówczą pracę i społeczne działanie na rzecz swojego regionu. Otrzymali oni w nagrodę IV tom encyklopedii i jednego talara. Spotkanie zakończyło się poczęstunkiem, specjalnie na tą okazję zamówiono tort z sentencją Cycerona „Miła jest praca skończona”.

Małgorzata Żochowska

---

## „Warszawa da się lubić” po raz piąty

**J**ak zwykle w listopadzie, członkowie i sympatycy Oddziału PTTK im. ks. ppłk. dr. Władysława Łęgi w Grudziądzu wzięli udział w 2011 r. w wycieczce z cyklu „Warszawa da się lubić”. Uczestnicy mogli świętować mały jubileusz tej imprezy, bowiem odbyła się ona już po raz piąty. Tego roku pierwszym zwiedzonym obiektem była Twierdza Modlin. Naturalne warunki terenu u zbiegu rzek Wisły, Narwi i Wkry do celów obronnych wykorzystywano już od czasów potopu szwedzkiego. Stanisław Kmiotek oprowadził po fortyfikacjach ze wszystkich okresów powstawania twierdzy. Nadmienić należy, że 4.12.1830 r. Twierdza Modlin stała się główną bazą wojsk powstańczych (załoga po oblężeniu przez wojska rosyjskie skapitulowała 9.10.1831 r.). Tematem przewodnim pierwszego dnia wycieczki było powstanie listopadowe – właśnie minęło 180 lat od tego wydarzenia.

Kolejnym punktem programu było pole bitwy pod Olszynką Grochowską, jednej z najbardziej krwawych bitew powstania listopadowego. Spacer wzdłuż powstającej od 1999 r. Alei Chwały zakończyliśmy zapaleniem znicza pod pomnikiem ku czci poległych w bitwie. Następnie przejechaliśmy na Wolę, gdzie obejrzelśmy m.in. pomnik gen. Józefa Sowińskiego, jego symboliczny grób, mogiły powstańców, kościół św. Wawrzyńca i Cmentarz Wolski z okalającymi go zabytkowymi wałami. Wieczorem tradycyjnie uczestniczyliśmy we mszy w intencji członków i sympatyków grudziądzkiego Oddziału PTTK oraz zapaliliśmy znicz pod tablicą ks. Łęgi.

Niedzielny program rozpoczął się od spaceru po ogrodzie Biblioteki Uniwersyteckiej i wokół Centrum Nauki „Kopernik” oraz seansu w planetarium. Bardzo ciekawie przebiegła wizyta na torze wyścigów konnych Służewiec. Dzięki uprzejmości Anny Piszcz, mimo odbywających się zawodów, mogliśmy zwiedzić cały obiekt, łącznie z tarasem dla VIP-ów. Zapoznaliśmy się ze specyfiką zawodów hippicznych, a także atmosferą towarzyszącą obstawianiu gonitw. Dużą zasługę w tym miały opowieści i komentarze udzielane na bieżąco przez Mieczysława Mełnickiego, legendarnego dżokeja i trenera. Nie obyło się bez zakładów. I była też wygrana – kilkadziesiąt złotych i jaka satysfakcja! Później międzylądowanie na Okęciu. Na Lotnisku Chopina czas na „małe co nieco” i możliwość zapoznania się z nowoczesną infrastrukturą komunikacyjną. Następnie krótki przystanek przy pomniku *Electio Viritim*, który został wzniesiony w roku czterechsetlecia stołeczności Warszawy (1997) i upamiętnia Pole Elekcyjne na Woli. Przejazd do Śródmieścia, zwiedzanie okolic Pl. Grzybowskiego. Tam ciepły posiłek po znojnym dniu. Na zakończenie jeszcze tylko zwiedzanie kościoła Wszystkich Świętych i do Grudziądza.

W wycieczce wzięło udział 49 osób. Nie wszyscy chętni pojechali - było ich dużo więcej niż miejsc w autokarze. Jak zwykle, w zorganizowaniu programu krajoznawczego imprezy miał swój udział Jacek Kowalewski, a w oprowadzaniu wspomagała go Grażyna Czarnowska – oboje z Warszawskiego Oddziału Przewodników PTTK.

*Jan Kamiński  
(organizator wycieczki)*



---

## Pomorski Sejmik Krajoznawczy „Mijające krajobrazy Pomorza”

**P**o VI Kongresie Krajoznawstwa Polskiego, który odbył się w Olsztynie 2010 r., z inicjatywy Komisji Krajoznawczej ZG PTTK, mają miejsce w całej Polsce sejmiki krajoznawcze pod wspólnym tematem „Mijające krajobrazy Polski”. W Gdańsku sejmik z tego cyklu odbył się 15-16.10.2011 r. Organizatorem było Pomorskie Porozumienie Oddziałów PTTK, reprezentowane przez Pomorskie Kolegium Instruktorów Krajoznawstwa i Pomorską Komisję Fotografii Krajoznawczej PTTK w Gdańsku. Organizację sejmiku wspierali: Oddział Gdański Polskiego Towarzystwa Geograficznego i Instytut Geografii UG oraz KKraj. ZG PTTK. Honorowy patronat objęli Mieczysław Struk – Marszałek Województwa Pomorskiego, prof. dr hab. Bernard Lammek – JM Rektor Uniwersytetu Gdańskiego i Lech Drożdżyński – prezes ZG PTTK. Głównym celem było przedstawienie i uchwycenie zmian w młodogłacjalnym krajobrazie Pomorza, jego degradacji i ochronie. Naukowcy i krajoznawcy przedstawiali swoje przemyślenia na temat przemijania pomorskich krajobrazów. Sejmik zorganizowano w Międzynarodowym Roku Lasów i Roku Turystyki Rodzinnej w PTTK oraz w 150. rocznicę urodzin Bernarda Chrzanowskiego, który sto lat temu wydał przewodnik „Na kaszubskim brzegu”. Patroni medialni sejmiku to „Gościniec” ZG PTTK, „Jantarowe Szlaki” Oddziału Gdańskiego PTTK i „Pomerania” Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku.

Gospodarzem sejmiku był Instytut Geografii UG w Gdańsku, gdzie odbyła się 15.10.2011 r. sesja krajoznawcza. Alicja i Ryszard Wrzoskowie w imieniu Komitetu Organizacyjnego powitali uczestników sejmiku i zaproszonych gości oraz przedstawili program sejmiku. Podkreślono, że obecny sejmik jest kontynuacją Pomorskiego Sejmiku Przedkongresowego „Pomorze – krajobrazy kultury i wartości”, który został zorganizowany przez Pomorskie Kolegium Instruktorów Krajoznawstwa PTTK w Gdyni 28.09.2009 r. W sejmiku wzięło udział blisko stu krajoznawców, głównie z woj. pomorskiego. Województwa sąsiednie reprezentowali krajoznawcy współpracujący z pomorskimi jednostkami PTTK. Specjalnym gościem sejmiku był dr Józef Partyka, przewodniczący KKraj. ZG PTTK, wicedyrektor Ojcowskiego Parku Narodowego. W imieniu rektora UG uczestników powitał prof. UG dr hab. Tadeusz Palmowski, dyrektor Instytutu Geografii UG. Na zakończenie części oficjalnej wiceprezes ZG PTTK Stanisław Sikora wręczył trzem wyróżnionym przez ZG PTTK osobom medale „Za pomoc i współpracę”, które otrzymali prof. dr hab. Bernard Lammek prof. UG dr hab. Tadeusz Palmowski i mgr inż. Leszek Jurys, dyrektor Oddziału Geologii Morza Państwowego Instytutu Geologicznego



**Alicja Wrzosek i Józef Partyka**

w Gdańsku. Z uwagi na nieobecność na sejmiku rektora UG, medal został wręczony mu drugiego dnia. Następnie Marta Chełkowska, dyrektor Departamentu Turystyki Urzędu Marszałkowskiego podziękowała organizatorom sejmiku i wręczyła im albumy i materiały krajoznawcze, które otrzymali: Józef Partyka, Tadeusz Palmowski, Piotr P. Woźniak, Urszula i Roman Boszkowie oraz Alicja i Ryszard J. Wrzosekowie, a także turystyczne małżeństwo Janina i Stefan Żelazkowie z Oddziału Morskiego PTTK w Gdyni.

Pierwszej, przedpołudniowej sesji krajoznawczej przewodniczył prof. Tadeusz Palmowski. Wygłoszono sześć eferatów:

1. Józef Partyka „Założenia programowe sejmików krajoznawczych – Mijające krajobrazy Polski”;
2. Jan Mordawski „Krajobrazy województwa pomorskiego”;
3. Leszek Jurys „Geneza krajobrazu Pojezierza i Pobrzeża Kaszubskiego”;
4. Aleksandra Kobiela, Piotr P. Woźniak „Głazy narzutowe w strefie podmiejskiej – na przykładzie gdańskiej części Trójmiejskiego Parku Krajoznawczego”;
5. Alicja Wrzosek „Krajobrazy kaszubskie według Bernarda Chrzanowskiego 1910 r.”;
6. Ryszard J. Wrzosek „Zmiany krajobrazu Pobrzeża Kaszubskiego oczami krajoznawcy”.

Po krótkiej dyskusji uczestnicy sesji udali się na przerwę, podczas której oglądali wystawę fotograficzną Romana Boszke z Pomorskiej Komisji Fotografii Krajoznawczej PTTK w Gdańsku. Wystawa, składająca się z czterdziestu fotogramów, nosiła nazwę „Helskie sosny”. Drugiej, popołudniowej części sesji krajoznawczej, przewodniczył Ryszard J. Wrzosek. Wygłoszono sześć kolejnych referatów:

1. Paweł Raczyński „Dokumentowanie fotograficzne krajobrazu pomorskiego”;
2. Jarosław Samsel „Ryf Mew w obiektywie krajoznawcy”;
3. Marek Kowalewski, Witold Ciechanowicz „Lasy w krajobrazie województwa pomorskiego”;
4. Tadeusz Palmowski „Renesans morskich tradycji na Zatoce Puckiej”;
5. Dariusz Dębski „Budowle obronne w krajobrazie nadmorskim. Wpływ działalności człowieka na stan ich zachowania”;
6. Anna Ćwikłowska „Odchodzące miejskie krajobrazy przemysłowe”.

Po referatach odbyła się dyskusja, w której poruszano zagadnienia związane z degradacją krajoznawczego pomorskiego w wyniku działalności człowieka i sił natury, a także zwrócono uwagę na sposoby ochrony krajoznawczego. Krótkiego podsumowania sesji dokonali prof. T. Palmowski i R. J. Wrzosek, który zapowiedział wydanie materiałów sejmikowych drukiem i w wersji multimedialnej na płytkach DVD. J. Partyka wyraził swoją opinię o sesji krajoznawczej, że była ona bardzo interesująca i stała na wysokim poziomie merytorycznym.

Bezpośrednio po sesji uczestnicy pod kierunkiem A. Wrzosek udali się do Muzeum Archidiecezjalnego w Gdańsku-Oliwie. Jest to muzeum wewnątrz historycznych z ekspozycją sztuki sakralnej, które mieści się we wnętrzu dawnego klasztoru cystersów (1186-1831), od 1957 r. użytkowanego przez Gdańskie Seminarium Duchowne. Uroczystego otwarcia 16.11.1975 r. dokonał kardynał Karol Wojtyła i bp gdański Lech Kaczmarek. W latach 1993-1999 dokonano prac konserwatorskich, dzięki którym przywrócono ich pierwotne walory artystyczne i funkcjonalne. Po muzeum oprowadzała dyrektor Alina Szpakiewicz. Następnie grupa udała się na cmentarz oliwski, gdzie złożono kwiaty i zapalono znicze na grobach wybitnych krajoznawców pomorskich: Franciszka Mamuszki i Romana Klima. A. Wrzosek przedstawiła ich.

W drugim dniu A. i R. Wrzosekowie jako przewodnicy zaprosili na wycieczkę krajoznawczą szlakiem rezerwatu przyrody „Jar Raduni”. Uczestnicy dojechali pociągiem do Babiego Dołu, a stąd pieszo udali się do kręgów kamiennych w Trątkownicy. Cmentarzysko w Babim Dole-Borczu założyli w I w. Goci, którzy przybyli tu ze Skandynawii. Charakterystyczne konstrukcje grobowe – kurhany, otoczone były wieńcami kamiennymi. Pomiedzy nimi znajdowały się kręgi kamienne z głazów narzutowych, gdzie Goci odbywali zebrania i sądy. Następnie szlakiem niebieskim

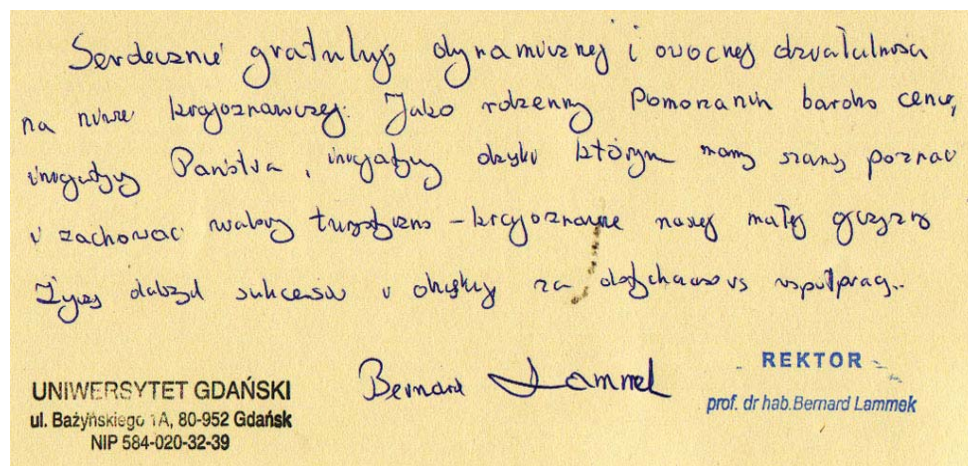


**Alicja Wrzosek, prof. Bernard Lammek i Stanisław Sikora**

„Jaru Raduni” udano się w kierunku Borkowa. Rezerwat przyrody „Jar rzeki Raduni” jest rezerwatem krajobrazowym na wschodnim skraju Pojezierza Kaszubskiego, powołanym w 1972 r. na powierzchni 84,24 ha. Obszarem chronionym jest odcinek przełomu Raduni, zwany Przełomem Babidolskim, przez wzgórza morenowe z porośniętymi gładem i łągiem stokami. Charakterystyczne jest tu występowanie również roślinności o charakterze podgórskim. Przejście 18 km jest niezwykle urokliwe, ale trudne zarazem. Przejście zajęło ponad 6 godz. Tylko jedna osoba z uwagi na stan zdrowia nie doszła do końca. Większość uczestników wycieczki udokumentowała je na filmie i zdjęciach fotograficznych. Z Borkowa uczestnicy wycieczki krajoznawczej wrócili pociągiem do Trójmiasta.

Po sejmiku, 18.10.2011 r. prof. Bernard Lammek przyjął delegację PTTK w składzie: Stanisław Sikora, Alicja Wrzosek i Ryszard J. Wrzosek. Po wręczeniu przez S. Sikorę medalu PTTK „Za pomoc i współpracę” JM Rektor podziękował za wyróżnienie i wysłuchał informacji o działalności programowej PTTK w regionie gdańskim. W dyskusji podkreślono owocną współpracę PTTK z Uniwersytetem Gdańskim, który udostępnia pomieszczenia uczelni na sejmiki i sesje krajoznawcze oraz wystawy PTTK. Wspólnie z Polskim Towarzystwem Geograficznym, którego Oddział Gdański ma swoją siedzibę w budynku Instytutu Geografii UG, PTTK organizuje sesje naukowe i wycieczki metodyczne, zapisywane w kronikach od 1968 r. Członkowie PTTK są również członkami PTG i odwrotnie, a Oddział Gdański PTG od swych początków, a więc od ponad sześćdziesięciu lat, znajduje swe opracie w gdańskiej uczelni (do 1970 r. Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Gdańsku, potem przekształcona

w Uniwersytet Gdański). Rektor UG podziękował za dobrą współpracę z PTTK i na dowód tego dokonał wpisu w kronice KKraj. ZG PTTK. Na zakończenie spotkania przedstawiciele PTTK wręczyli rektorowi UG materiały krajoznawcze z woj. pomorskiego.



**Wpis rektora UG**

**Alicja i Ryszard J. Wrzosekowie**

**Wysokość opłat za przejazd autostradami i drogami szybkiego ruchu na Słowacji w roku 2012 dla pojazdów do 3,5 tony.**

(łącznie ponad 520 km dróg)

Rodzaj pojazdu	Roczna winieta	Miesięczna winieta	10-dniowa winieta
Samochód osobowy do 3,5 t	 <p><b>50 €</b></p>	 <p><b>14 €</b></p>	 <p><b>10 €</b></p>
Przyczepa kategorii O1 i O2 do 3,5 t	 <p><b>50 €</b></p>	 <p><b>14 €</b></p>	 <p><b>10 €</b></p>

Naklejki uprawniające do przejazdu po autostradach, drogach szybkiego ruchu i drogach I kategorii można kupić na wszystkich stacjach benzynowych na Słowacji.

**Dla samochodów osobowych z przyczepami, których całkowita masa pojazdu przekracza 3,5 tony, obowiązuje dodatkowa winieta /nakleja się na samochód ciągnący przyczepę/.**

**Jednocześnie informujemy, że motocykle oraz samochody campingowe/Campery/ powyżej 3,5 tony zwolnione są z opłat drogowych po słowackich autostradach.**

**Ważna informacja dla kierowców samochodów powyżej 3,5 tony:**

Od 01.01.2010 r. na Słowacji dla samochodów powyżej 3,5 tony wprowadzony został elektroniczny system poboru opłat. Dotyczy to jazdy po autostradach, drogach szybkiego ruchu oraz niektórych drogach pierwszej kategorii /1920 km dróg/.

Więcej informacji oraz aktualne mapy płatnych odcinków dróg na Słowacji znajdą Państwo na stronach internetowych [www.ndsas.sk](http://www.ndsas.sk) i [www.emyto.sk](http://www.emyto.sk).

## Fotografia elektroniczna

Odpowiadając na apel redakcji „Na Szlaku” mam nadzieję, że list będzie początkiem dyskusji o gromadzeniu zbiorów krajoznawczych w wersji elektronicznej.

Broszurkę Adama Czarnowskiego przeczytałem i stwierdzam, że opisał w niej tylko swoje doświadczenia w zakresie gromadzenia zbiorów fotograficznych. Część opisów jest zgodna z teoriami, które głosił w latach 70. Bolek (nazwiska nie pamiętam) z Bielska-Białej. Jednak postępowanie takie jest bardzo pracochłonne, zbiory i papiery z tym związane zajmują bardzo dużo miejsca oraz pochłaniają dużo czasu, jaki temu należy poświęcić – nie wystarczy dla tych, którzy jeszcze pracują lub mają jeszcze inne zainteresowania. To dobre dla Centrum Fotografii Krajoznawczej lub Bibliotek, które do tych celów mają miejsce i obsadę.

Obecnie z żoną rocznie wykonujemy około 10-15 tys. zdjęć. Obrabiamy tylko połowę, a reszta czeka na okres, kiedy już nie będziemy zdolni wychodzić w teren, ale zabezpieczamy je w archiwum w taki sposób, abyśmy mogli do nich szybko dotrzeć. Przechowywania zasobów elektronicznych uczyłem się z biegiem czasu. Początkowo były płyty CD, potem DVD, a teraz dyski zewnętrzne. Obecnie przechowuję zasoby na dysku zewnętrznym 500 GB – 3USB. Dotychczas odnajdywanie plików w nim zawartych nie zajęło mi więcej czasu, jak 2 min. Zmieści się w nim zasób, który powstał w moim komputerze przez okres dziesięciu lat. Przy przenoszeniu zasobu 141 płyt CD i 57 DVD na dysk zewnętrzny odkryłem następne udoskonalenia, o których napiszę później. Na razie mogę stwierdzić, że, dla przykładu, w folderze „CZAK 2011 – Gorzów Wlkp.” o pojemności 10,7 GB jest ponad 2,5 tys. zdjęć w dużej rozdzielczości, około 1,5 tys. zdjęć w rozmiarze 1024x768 (wielkość użytkowa do montażu zestawu), korespondencja związana z Czakiem, skanowane certyfikaty i stare zdjęcia z zasobu przeźroczy, a wykorzystanych do zestawu. Jednym słowem, wszystko w jednym folderze. Na tym nie koniec, gdy będzie gotowy zestaw, do tego folderu włączymy prezentację multimedialną w wersji roboczej (ppt), gotowy (pps) oraz okładkę do płyty.

Wiele osób robi notatki z wycieczek czy innych imprez. Część osób zapisuje tylko w kalendarzyku, część pisze w specjalnych notatnikach numerując je kolejnym numerem notatnika i okresem czasu, np. 1=1970-1976, 2=1977-1985... 7=2008-2011. Gdy potrzebne są wiadomości, przekartkuje się notatnik. Szukanie informacji w notatniku jest jednak bardzo pracochłonne, bo nie pamiętamy, kiedy to się odbyło. Bardzo przydatnym do tego celu nadaje się MS Excel. W tym programie zapisujemy tylko podstawowe dane z notatnika: data, trasa lub inna czynność (nazwa pliku, który powstał), uwagi (rodzaj imprezy, osoba ważna, gatunek flory lub fauny itp.). Gdy chcemy dotrzeć do daty w pliku Excela, do opcji „szukaj” wpisujemy tylko hasło, a w sekundę mamy datę. Po dalsze szczegóły wracamy do notatnika terenowego. Datą oraz ewentualnie nazwą (np. 2011-11-09-Olkusz) nazwiemy też folder cyfrowy, który w tym dniu powstaje. Zapisując ten folder na „Dysk-archiwum” odnajdujemy go w kilku minut.

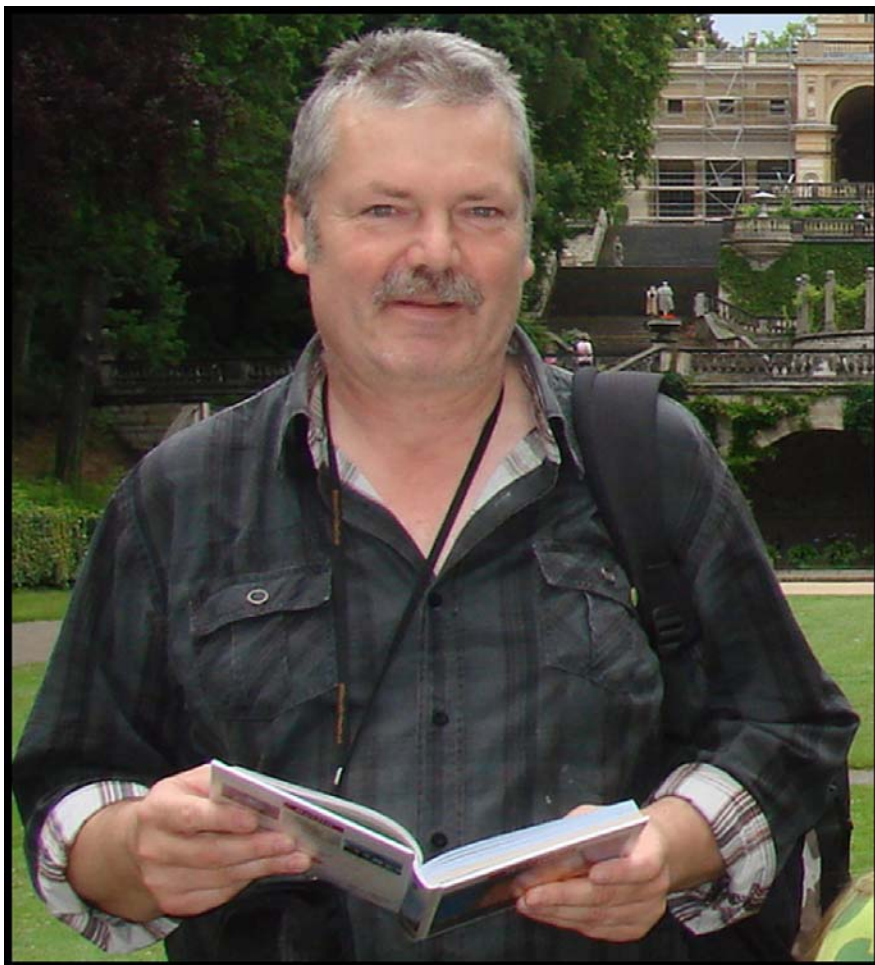
Obok przykładowy plik Excela. O zapisaniu folderów z podfolderami napiszę następnym razem.

*Henryk Hadasz*

DATA	TRASA, IMPREZA LUB INNE	IMPREZA LUB UWAGI
2011-08-22	Gorzów Wlkp	CZAK 2011 - Gorzów Wlkp
2011-08-23	Gorzów-Międzyrzec-Pniewo-Sieniawa-Lagów-Świebodzin-Gorzów	CZAK 2011 - Gorzów Wlkp
2011-08-24	Gorzów-PN Ujście Warty-Witnica-Bogdaniec-Gorzów	CZAK 2011 - Gorzów Wlkp
2011-08-25	Gorzów-Sulęcín-Osno-Słońsk-Gorgast-Chwaszczany-Gorzów	CZAK 2011 - Gorzów Wlkp
2011-08-26	Gorzów-Rejs-Santok-Rejs-Gorzów	CZAK 2011 - Gorzów Wlkp
2011-08-27	Gorzów-Kostrzyn-Górzycza-Świerkocin-Gorzów	CZAK 2011 - Gorzów Wlkp
2011-08-31	Brzeg-Lewandówka	
2011-09-01	Lewandówka-Pokój-Lewandówka	
2011-09-02	Lewandówka	
2011-09-03	Lewandówka-Pokój	
2011-09-03	Pokój-Winna Góra	
2011-09-03	Winna Góra-Lewandówka	
2011-09-04	Lewandówka-Łosiów-Różyna-Lewandówka	
2011-09-05	Lewandówka-Czepilowice-Lewandówka	
2011-09-06	Lewandówka-Brzeg	
2011-09-30	Opole-Złoty Hory	symposium polsko-czeskie
2011-10-01	Złoty Hory-Jaworne	symposium polsko-czeskie
2011-10-01	Jaworne-Ondrejovice	symposium polsko-czeskie
2011-01-02	Złoty Hory-Młyn	symposium polsko-czeskie
2011-01-02	Złoty Hory-Prudnik	symposium polsko-czeskie
2011-10-08	Wrocław-Lódź-Wrocław	nad. Im. Waldemara Dońca
2011-10-10	Skanowanie przeźroczy - Lagów Lubuski	
2011-10-13	Opole-Lewandówka	
2011-10-14	Lewandówka-Olszak-Wydma-Lewandówka	
2011-10-15	Lewandówka-Karłowice-St.Kolnie	
2011-10-15	Lewandówka-Dąbrowa-Lewandówka	Opienka - Dziezka
2011-10-16	Lewandówka-Brzeg	
2011-10-28	Prudnik-Prószków	
2011-11-05	Olkusz	100-lecie PTK-PTTK Olkusz

## ODSZEDŁ MAREK OLEJNICZAK

**W** dniu 5 grudnia ub. roku zmarł nasz Kolega śp. Marek Olejniczak – Instruktor Krajoznawstwa Polski, przewodnik i pilot wycieczek, przodownik turystyki pieszej i kolarskiej, zasłużony działacz ostrowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, członek Wiel-



kopolskiego Klubu Publicystów Krajoznawczych, ceniony regionalista i publicysta (autor wielu publikacji, m.in. takich jak „Bedeker ostrowski”, „Powiat Ostrowski – przewodnik”, „Gmina Sieroszewice przyroda – historia – zabytki”, „Między Prosną a Baryczą”, „Strzyżew 1295-1995”, współautor Kanonu Krajoznawstwa Województwa Wielkopolskiego, współredaktor czasopism „Krajoznawstwo i Turystyka”, „Na ostrowskim szlaku”, „Na południu Wielkopolski” i wielu innych).

Wyróżniony był podczas XIV Ogólnopolskiego Przeglądu Książki Krajoznawczej i Turystycznej Tour Salon 2005 w Poznaniu, odznaczony Medalem Komisji Edukacji Narodowej i Złotą Honorową Odznaką PTTK. Opiekun SKKT „WIERCHY”. Działacz PTSM. Emerytowany nauczyciel.

Pozostanie na zawsze w naszej pamięci.

Pogrzeb odbył się 9.12.2011 r. na cmentarzu przy ul. Bema w Ostrowie Wlkp.

Cześć jego pamięci!

*Foto. M. Maśliński*

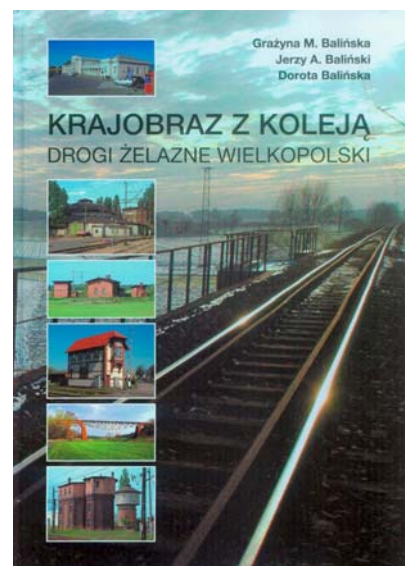
*Komisja Krajoznawcza Oddziału PTTK w Ostrowie Wielkopolskim*



**Oferta wydawnictw  
turystyczno-krajoznawczych  
wydanych przez  
Oddział Wrocławski PTTK**

## Monografia kolei wielkopolskich

**P**od koniec ubiegłego roku miłośnicy regionu wielkopolskiego i kolei żelaznych otrzymali wspaniale dzieło małżeństwa Balińskich i ich córki, poświęcone temu tematowi, aczkolwiek mniej historii, a więcej przetrwałym obiektom – dworcom, lokomotywniom itp. urządzeniom towarzyszącym. Autorzy omówili szczegółowo poszczególne typy obiektów, wskazując na niejednokrotnie oryginalne rozwiązania architektoniczne, a tym samym na ich wartość kulturową. Kontekst tego rodzaju komunikacji został przedstawiony wyraziście, dając podstawę do wniosku, iż obiekty w sumie tworzą często całe zespoły, warte ochrony. Te zaś wyróżniają się w krajobrazie, kreując jego charakterystyczne części. Bez wątpienia znanymi, acz z reguły niedocenianymi dominantami są wieże ciśnień, wznoszone na potrzeby trakcji parowej, dziś niepotrzebne, popadające niekiedy w ruinę. Dokonując przeglądu badań i zarysu historii autorzy wskazują na – nieuchronne przecież, przemiany w transporcie kolejowym i wynikające stąd zagrożenia dla owego *signum temporis* przełomu XIX/XX w.



Książka jest bogato ilustrowana, fotografiami – starymi i nowymi, szkicami i rysunkami, w dużym formacie, na dobrym papierze, twarda okładka. Wprawdzie ma ona charakter naukowy, udokumentowany odsyłaczami i bogatym zestawem cytowanej literatury i źródeł (choć to oficjalnie tylko wybór), ale brak żargonu specjalistycznego – poza niezbędną prawidłową terminologią, czyni z publikacji rzecz dostępną dla każdego. Oczywiście największe zainteresowanie wywoła ona wśród turystów – miłośników kolejnictwa, ale śmiało można ją polecić każdemu krajoznawcy. Pogratulować wypada Autorom i Wydawnictwu!

Grażyna Balińska, Jerzy A. Baliński, Dorota Balińska: *Krajobraz z koleją. Drogi żelazne Wielkopolski*. OW Politechniki Wrocławskiej 2011, 438 s.

Krzysztof R. Mazurski

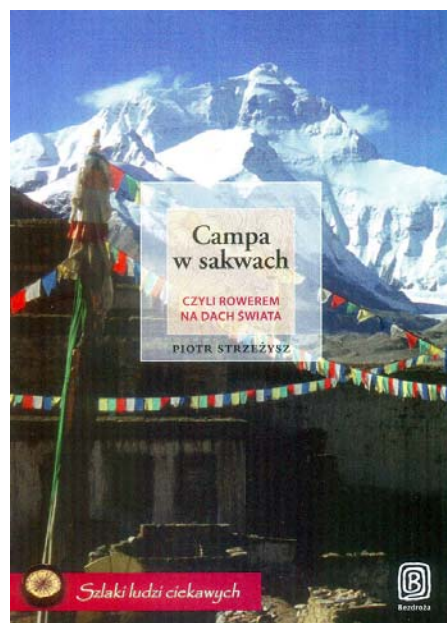
## Rowerem po Tybecie

**T**ybet to, jak wiadomo, wielka kraina w sercu Azji, podbita i ciemiężona przez Chiny od kilku dziesięcioleci. Bardzo wysoko położona („dach świata”), sięgająca po Himalaje, słabo zaludniona, przez dużą część roku niedostępna. Trudno się w niej żyje, trudno podróżuje. A na rowerze? Niemożliwe! A jednak. W latach 2006-2007 dokonał tego autor prezentowanej książki i to samotnie!

Rezultatem tych niezwykłych podróży, w słońcu, deszczu i po śniegu, są rozliczne wrażenia – dobre i złe, z reguły odbiegające od tego, co przeciętny turysta może zobaczyć i przeżyć. W dużej mierze autor zawdzięcza to bezpośrednim kontaktom z Tybetańczykami, gościnnym i serdecznym. Opisano to w stylu reportażowym, realistycznie, niejednokrotnie zaprawiając humorem czy emocjonującymi wstawkami. Liczne szczegóły o praktycznym znaczeniu mogą być wykorzystane przez naśladowców czy też w ogóle wszystkich, którzy wybierają się do Tybetu. Wysiłek podróżnika i prawdziwość doznań doceniam poprzez, jakże wygodniejszą, podróż po Małym Tybecie – zachodniohimalajskim Ladakhu.

Rzecz jest wydana na dobrym papierze, z licznymi kolorowymi fotografiami, mapką trasy wojażowania. Zawiera też, nader rzadko spotykaną w takich wydawnictwach, wykaz kilkunastu uzupełniających, użytecznych publikacji. Nie pozostaje nic innego, jak wsiąść na rower i jechać! Może ktoś z naszych Czytelników tam się wybierze? A na pewno warto poczytać! W przeciwieństwie do wycopin pewnej lansowanej „podróżniczki”.

Piotr Strzeżysz: *Campa w sakwach, czyli rowerem na dach świata*. (Kraków): Bezdroża (2011), 275 s. + 5 nlb.



Krzysztof R. Mazurski

## Samotnie w góry

**K**ażdy wie, że w góry nie należy chodzić samemu. Głównie ze względów bezpieczeństwa, chociaż w dzisiejszych czasach, kiedy wszyscy posiadają telefony komórkowe, samotne wyjście w góry nie jest już takie „samotne”. W razie potrzeby można bowiem wezwać pomoc czy zawiadomić bliskich, gdzie jesteście. Niestety, w zeszłym wieku nie było takiej możliwości, dlatego każde wyjście w pojedynkę stanowiło ryzyko. Każde takie wyjście groziło nie tylko, iż coś nam się stanie, ale groziło, że będzie to już ostatnia wycieczka w naszym życiu. Nic, ale to zupełnie nic nie jest w stanie ochronić nas przed żywiołem. Będąc w górach jesteśmy zdani na to, co los przyniesie. Oczywiście, jeśli jesteście dobrze przygotowani oraz posiadamy jakieś doświadczenie i potrafimy zachować zdrowy rozsądek, to możemy wyjść cało z, wydawałoby się, tragicznych sytuacji. Młodzi ludzie inaczej widzą świat, a cóż dopiero prostą wycieczkę w górach, w środku Europy. Myślą sobie: przecież tutaj nie można zabłądzić, tutaj nic nam się nie może przytrafić. Do tego są pewni swojej kondycji fizycznej, no i nie posiadają jeszcze odpowiedniego doświadczenia, bo i gdzie je mieli zdobyć.

I ja w latach swojej młodości wyruszałem w góry sam. Ba, niejednokrotnie wyruszałem w nocy, w deszcz czy wręcz podczas szalejącej śnieżycy. Nie myślałem wówczas o konsekwencjach takiego postępowania. Nie myślałem o tym, że moi bliscy będą się martwić brakiem wiadomości ode mnie. Często bowiem wychodziłem z domu na kilka dni. I przez tych kilka dni nikt nie wiedział, co się ze mną dzieje. Teraz wiem, że takie postępowanie było co najmniej nieodpowiedzialne, żeby nie powiedzieć – głupie, ale wtedy wydawało mi się to normalne. Oczywiście pierwsze załamania pogody były zaskoczeniem. Jednak nie zwracałem z obranej trasy. Później przyzwyczajałem się do warunków zimowych. Do coraz większej ilości zalegającego śniegu i coraz większego mrozu. Jako że w góry chodziłem bardzo często, nieraz było to nawet trzysta dni w roku, miałem możliwość przyzwycząć się do bardzo różnych warunków atmosferycznych, a szybko zmieniająca się pogoda w górach nauczyła mnie odpowiedniego ubierania się oraz zabierania nieraz, wydawałoby się, niepotrzebnych w górach rzeczy. Wyglądało to komicznie, gdyż wszystko pakowałem do wielkiego plecaka z kominem, który wystawał mi wysoko ponad głowę. Muszę powiedzieć, że ciężar plecaka niejednokrotnie przekraczał 80 kg. Cóż to jednak było dla młodego, silnego człowieka. Z takim obciążeniem potrafiłem, gdy zachodziła potrzeba, odbyć kilkugodzinny bieg. I nie przeszkadzało mi, że droga jest kamienista czy padający deszcz zmieniał ją w rwący i mulisty ciek. Na szczęście, robiono wtedy porządne buty do turystyki górskiej. Były one szyte ze skóry, posiadały wkładki filcowe albo z kozucha. Fakt, ważyły po kilka kilogramów każdy. Jednak w takim obuwiu można było wejść do strumienia i po przejściu nim kilkuset metrów dalej mieć suche nogi. A często, zwłaszcza zimą, tak robiłem, gdy opuszczały mnie siły, po prostu szukałem jakiegoś strumyka, wchodziłem do niego i schodziłem jego korytem w dół. Sudety mają takie ukształtowanie, że nie było obawy, by nie dotrzeć do jakiś zabudowań. Często, ze względu na zaleganie wielometrowej warstwy śniegu, takie wędrowanie było jedynym możliwym sposobem w miarę szybkiego dostania się do cywilizacji. Oczywiście na buty trzeba było zakładać odpowiednie getry, tak by woda nie wlała się do środka. Miałem szczęście, ponieważ znalazłem starszego krawca, który pamiętał jeszcze, jak się szyje różne potrzebne w górach odzienie. Uszył mi wiele rzeczy, w tym getry. To właśnie on zaproponował mi uszycie szarawarów, czyli takich spodni za kolana [powszechnie zwie się je pumpkami – red.]. Jedne zrobił mi jako wiązane, drugie na guziki, trzecie na zameczek. Mówię tutaj oczywiście o zakończeniu nogawek. Okazuje się, że ten przedwojenny patent wcale nie był taki głupi. Pozwalało to w razie ładnej pogody szybko odsłonić nogi, by było chłodniej, a w razie deszczu szybko założyć na buty getry mocowane haczykami i zabezpieczyć nogi przed zmoknięciem lub przed zadrapaniami przy przedzieraniu się przez gęstwinę. Zimą wystarczyło założyć pod getry długie skarpety i już było i ciepło i sucho. Jednak należało pamiętać, że do butów zakładało się dwie pary skarpet. Jedne krótkie, drugie długie. Dzisiaj już nikt tego nie stosuje. Mało tego, kiedyś w butach do turystyki górskiej, a zapewniam, że takie obuwanie było bardzo trudno zdobyć, jeździło się na nartach. A więc buty te musiały być odpowiednio wytrzymałe. Musiały też mieć możliwość zakładania raków. Pewnie zdziwi się ktoś słysząc o tym, bo po cóż w naszych górach raki. A jednak. Sam często idąc w góry zabierałem je ze sobą. Były bowiem miejsca, w których, aby

nie zapadać się po pas w śniegu, zakładało się narty, ale, aby nie spaść z oblodzonego zbocza w przepaść [chodzi o Karkonosze – red.], zakładało się jeszcze dodatkowo raki. Wyglądało to może komicznie, ale było bardzo skuteczne. Niekiedy wychodziliśmy w góry w kilka osób, a mieliśmy tylko jedną lub dwie pary nart. Robiło się to tak, że na nartach, zarówno przed, jak i za idącym na nich, stało jeszcze kilka osób. Maksymalnie mogło stanąć dwie osoby z przodu i dwie z tyłu. Jednak, gdy wszyscy mieliśmy wielkie plecaki, to już mogły to być tylko dwie osoby: jedna z przodu, druga z tyłu. Tak właśnie chodziło się wtedy. Było to bezpieczne i dawało możliwość w miarę szybkiego przemieszczania się. Dzisiaj nie ma już tak dużych opadów śniegu, jakie miały miejsce w latach 70. XX w. Wtedy, gdy szło się zimą, często widać było tylko czubki choinek. Nic więc dziwnego, że gdy ktoś spadł z tych nart, to nie były już żarty. Kolega nie tylko, że nikał z oczu w śniegu, to najczęściej bywało jeszcze tak, iż trafiał na pustkę pod nim i lądował w płynącym tam strumyku. Powstawał duży kłopot, by wyciągnąć taką osobę. Często trzeba było używać lin, tak głęboki był wtedy śnieg. Dodam tylko, że nieraz kilkusetmetrowy odcinek, jaki przebywaliśmy na nartach, powiedzmy w jedną, dwie godziny, idąc pieszo, bez nart na jego przejście potrzebowaliśmy nawet do trzynastu godzin. A że bardzo często, właśnie ze względu na czas potrzebny do pokonania zaplanowanego odcinka trasy, nie docieraliśmy do celu przed zmierzchem, wiele godzin marszu pokonywaliśmy w nocy. Oczywiście śnieg powodował, że było jasno, jednak zdawaliśmy sobie sprawę, że nie możemy przystanąć, gdyż w takich warunkach moglibyśmy tego nie przeżyć. A więc zmęczeni posuwaliśmy się wciąż do przodu, nie bacząc na upływ czasu i sił, jakie pozostawały. Koniecznym było dotarcie do chatki, by szybko ugotować herbaty, bo tylko dawka gorącego napoju mogła postawić na nogi. I nie można było w takich razach zwątpić. Każdy, kto by to uczynił, zostałby już tam na zawsze, dlatego nieraz w takich właśnie momentach posuwaliśmy się nawet do rękoczynów. Osobę, która chciała zostać na trasie, po bezskutecznych namowach, czasami okładaliśmy jakimś kijem albo kijkami do nart. Był to jedyny skuteczny sposób, by zmusić ją do podjęcia dalszego wysiłku. Oczywiście po dotarciu na miejsce żadna z tych osób nie miała pretensji do kolegów używających kija, były one wdzięczne za pomoc. Wiedzano, że bez tak stanowczej postawy nic by ich nie uratowało. Czasami tylko żartowali, że można było użyć kija mniej sękatego. Ale to już szczegóły.

Czasami samotna wędrówka okazywała się tak trudna, iż zapadała nam w pamięci. Pamiętam, jak umówiliśmy się na sylwestra w „Smogorniaku”. Ponieważ musiałem dłużej zostać w pracy, wybrałem się w drogę z dużym opóźnieniem, a tym samym musiałem iść już sam. Wszyscy poszli z odpowiednim wyprzedzeniem czasowym. Niestety, gdy pokonałem już połowę drogi, zaczęła się zamieć. Początkowo mi to nie przeszkadzało, ale później, gdy wiatr przybrał na sile, zacząłem się obawiać, czy wystarczy mi sił, by dotrzeć do chatki. Odwrót nie wchodził już w rachubę. Za daleko już zaszedłem. Ze względu na tak trudne warunki szło się coraz ciężiej. No i czas płynął coraz szybciej. Wiedziałem, że nie zdążę już przed północą. Ale cóż, ważne było, bym w ogóle dotarł na miejsce. Doszedłszy do strumyka płynącego przed chatką ucieszyłem się bardzo. Szybko zsunąłem się w śniegu na dół i zacząłem piąć się w górę na drugi brzeg. Niestety, padający śnieg był taki sypki, że wciąż się ześlizgiwałem do strumienia. Związałem zatem narty robiąc z nich drabinkę. Jednak było to za mało. Brakowało jeszcze parę metrów, by osiągnąć cel. Przez chwile pomyślałem, że może jednak warto pomyśleć o odwrocie, ale po chwili okazało się to także nierealne. Ponieważ widziałem momentami palące się światełko w jedynym z tej strony okienku, zacząłem drzeć się, ile miałem sił. Wichura jednak była głośniejsza. Wiatr gwizdał i wył tak, że na pewno nikt nie mógł mnie usłyszeć. Cóż było robić? Troszeczkę zaczynałem się bać, tym bardziej, że kilka razy wpadłem do strumyka i zaczynało mi się robić zimno. Oczywiście było, że nie przetrzymam nocy w takich warunkach. Na szczęście, komuś z obecnych w chatce zachciało się siusiu i ze zwykłego lenistwa nie poszedł do ubikacji postawionej nieco dalej, tylko wyszedł za chatkę, właśnie od strony strumyka. Jeszcze nigdy nie krzychałem tak głośno, jak wtedy. Tak się darłem, że kolega ten usłyszał mnie. Zaskoczony, ale zaciekawiony, co się dzieje, podszedł bliżej i gdy zobaczył, w jakiej się znalazłem sytuacji, pobiegł z powrotem do chatki. Zapomniał o tym, po co tutaj przyszedł. Zaraz wylegli prawie wszyscy, by pomóc. Jak się okazało, nie było to wcale takie proste. Wichura prawie przewracała ich, nie mogli podejść zbyt blisko jaru, by nie wpaść do mnie. W końcu powiązali liny, które mieli i z daleka dorzucili je do mnie. Udało mi się chwycić i zostałem wspólnym wysiłkiem wyciągnięty na górę. Tam dostałem szybko gorącej herbaty, przebrałem się w suche ciuchy i owinięty kocami grzałem się przez dłuższą chwilę przy kozie [nieduży, żeliwny piecyk – red.]. Nigdy nie myślałem, że ciepło z rozgrzanej kozy może dać tyle przyjemności. Dosłownie czułem, jak odtajam, tak byłem już przemarznięty. Po pierwszym okresie przerażenia zaczęliśmy wszyscy żartować z zaistniałej sytuacji, a kolega, który mnie zauważył, przypomniał sobie w końcu, po co tam szedł. Poleciał zatem szybko za chatkę.

*Cdn.  
Krzysztof Tęcza*

# Wycieczka ostatniej szansy

**N**iecały tydzień pozostał od 20.09.2011 r. do rozpoczęcia roku akademickiego. Wraz z koleżanką postanowiłyśmy wykorzystać ostatnie dni wakacji w sposób aktywny. Znając studenckie fundusze postawiłyśmy na polskie góry, Karkonosze. Na kartkach wypisałyśmy kilka nazw górskich miasteczek i zaczęło się losowanie. Wypadło na Szklarską Porębę. Obie bardzo się ucieszyłyśmy, ponieważ żadna z nas nie była tam od czasów szkoły podstawowej.

Podeksytowane spontaniczną wycieczką szybko kupiłyśmy bilety na PKS i zarezerwowałyśmy pokój w naszym mieście docelowym. Wyjazd o 7. rano, kilka godzin jazdy, podziwiania widoków za oknem i w końcu dotarłyśmy na miejsce. Po zorientowaniu się, iż nasz pokój znajduje się kilka km pod górę piechotą od centrum, byłyśmy jeszcze bardziej zmotywowane do aktywnego spędzenia czasu. Pierwszą rzeczą, jaką zapamiętałam w pamięci, był widok z tarasu: przed nami w całej okazałości Szrenica, w dole miasteczko, a wszystko to oblane promieniami ciepłego Słońca. Jak wiadomo, w minionym roku najpiękniejszym i najcieplejszym lecie mi esiącem był wrzesień, więc pogoda dopisywała przez cały pobyt w Szklarskiej. I tak właśnie dzień pierwszy u płynął na wiedzaniu miasteczka i za kupię p owszecznych p amiątek, takich jak góralskie karpety, drewniane łyżki i ciupagi. Wieczór w klimatycznej miejscowej restauracji i podziwianie światła miasteczka z góry naszego tarasu. Nie był to jednak główny moment wyprawy. Ten miał dopiero nadejść.

Pobudkę dnia drugiego zafundowały nam o godz. 6 dzwony kościółka, położonego w dole. Następne 12 godz. zapowiadało się całkiem ciekawie. Po zejściu do miasteczka skorzystałyśmy z miejscowej atrakcji, czyli parku linowego. Nie było to tak łatwe, jak mogłoby się wydawać, i przejście wyznaczonej trasy zajęło sporo czasu. Tuż po zregenerowaniu sił podjęłyśmy decyzję o rozpoczęciu głównego punktu programu, mianowicie: wyprawa do wodospadu Szklarki. Odnowienie wspomnień z dzieciństwa i dość spore wyzwanie, jak na dwie „miastowe dziewczyny”, które ze sportem nie mają wiele do czynienia. Na szlaku nie było wielu ludzi, lecz ci, których spotkałyśmy, zaskoczyli swoją uprzejmością i chęcią pomocy, udzielanie informacji i wzajemne pozdrawianie się to tam zupełnie normalna rzecz. Jako niewprawione w chodzeniu po górach turystki miałyśmy kilka postojów na trasie. Jeden z nich przy strumieniu, w którym woda była tak lodowato orzeźwiająca, że miało się ochotę wskoczyć całemu. Osobiście byłam tego bliska, lecz koleżanka powstrzymała mnie w ostatniej chwili i ostatecznie zamoczyłam tylko nogi. Na naszych twarzach pojawiła się radość, gdy zza drzew wyłonił się nasz cel – wodospad Szklarki. Wręcz podbiegłyśmy do platformy dla zwiedzających. Wszystko było tak jak za dawnych lat, stojak z pamiątkowymi kartkami, mały domek [schr. PTTK „Kochanówka”- red.], gdzie można wypić ciepłą herbatę, nawet pan z psem bernardynem pozującym dumnie do wspólnych fotografii. Był też wodospad, po tylu latach wydawał się znacznie mniejszy, ale równie piękny jak kiedyś. Posiedziałyśmy chwilę na ławeczce i powspominałyśmy dawne wycieczki szkolne, wypiliśmy herbatę i stwierdziłyśmy, że to nie wodospad zmaliał, tylko my sporo urosłyśmy. Obiecałyśmy sobie, że za kolejne dziesięć lat znów tu wrócimy i sprawdzimy, czy wodospad znowu „zmaliał”. W drodze powrotnej widziałyśmy tak piękne krajobrazy, iż nawet ja, zacięta miłośniczka leżenia na plaży, na nowo odkryłam piękno polskich gór.

Kolejny dzień to powrót do domu. Wracając wcale nie brakowało nam atrakcji, gdyż trafiłyśmy na autobus pełen harcerzy, którzy całą drogę śpiewali wesołe piosenki. Mimo iż to tylko kilka dni i tak blisko rodzinnego Wrocławia –  
BYŁO WARTO! Czuwaj!



*Agnieszka Siekierska*

**"NA SZLAKU"** – magazyn turystyczno-krajoznawczy.

Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.



Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Z-ca Sekretarza: **Alicja Jachimowicz**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**

Redakcja techniczna i opracowanie graficzne: **Piotr Dacko**

Webmaster: **Paweł Rumiński**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wysłouch**



Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław, tel. +48 71-343-03-44

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.